27 - 52

IV/0110

IX NADZWYCZAJNY ZJAZD PZPR

różaniec historii 6-7

baśnie Emila Bielf 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

27
(54)
KONTAKTY
12 VII 1981
Cena 6 zł

Rysunek Stanisława Kędzielawskiego

STARCIA

Klub Dyskusyjny „KONTAKTÓW"

polskie zakręty

Prezentujemy czytelnikom plon pierwszej w Łomży dyskusji panelowej pod hasłem „Polskie zakręty", zorganizowanej przez naszą redakcję przy współpracy z WOKI. Udział w panelu prowadzonym przez Piotra Kuncewicza wzięły osoby, dla których polskie zakręty były zarazem ich osobistymi: Edward Osóbka-Morawski — I Premier Polski Ludowej; doc. dr hab. Bronisław Gołębiowski — politolog (Uniwersytet Warszawski); dr Józef Oleksy (Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR); doc. dr hab. Włodzimierz Pawluczuk — socjolog, publicysta; doc. dr hab. Jadwiga Staniszkis — socjolog, doradca KKP NSZZ „Solidarność".

Panel poprzedził pokaz Polskiej Kroniki Filmowej, dokumentującej polskie protesty społeczne: 1956, 1968, 1970, 1980. Wiele z zaprezentowanych zdjęć po raz pierwszy ujrzało światło ekranu często w pierwotnej postaci, bez ścieżek dźwiękowych i uprzedniego montażu.

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

„Kontakty" we wsi Stanisława Kani

młode my byli, ale mocne

ADAM JERZY SOCHA

Ten chłopak, o bujnej blond czuprynie, którego pamiętają jak za krowami chodził, jak od matki brał w skórę, gdy z wioskowymi urwipołciami biegał po wsi, jak strugał końskie kopyta i zapowiadał się na tęgiego kowala nagle wdał się w wielką politykę i przemawia do nich, wrocańskich, ze szklanego ekranu. Nie wszystko rozumieją. Takich mądrych słów używa: „kontrrewolucja", „siły ekstremistyczne" „linia socjalistycznej odnowy". Tłumaczą to po swojemu, że na wieś spadnie deszcz wideł, z nieba sfruną nawozy sztuczne, no i że będzie wreszcie sprawiedliwość, bo i chłop nie może nikogo ukrzywdzić.

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

Za kilka dni Nadzwyczajny Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Łomżyńscy delegaci są już gotowi do obrad. Pracować będą w następujących zespołach: MIECZYSŁAW CZERNIAWSKI i WALDEMAR SZPALIŃSKI — „Ideowa i organizacyjna jedność PZPR w procesie socjalistycznej odnowy"; HENRYK ŚWIDERSKI — „Rola Statutu PZPR w działalności partii'; MIECZYSŁAW GÓRSKI — „Problemy socjalistycznej demokracji i praworządności w umacnianiu praworządności socjalistycznej państwa"; „Polityka gospodarcza PRL i założenia reformy gospodarczej" — WŁODZIMIERZ MICHALUK i STANISŁAW KOZŁOWSKI; „Problemy młodego pokolenia Polski Ludowej — STANISŁAW GABRIELSKI; „Rozwój produkcji rynkowej i kierunki zrównoważenia rynku" — STANISŁAW KASEJA; „Podstawowe problemy rozwoju wsi i gospodarki żywnościowej" — WITOLD MALINOWSKI i JAN NETTER; „Problemy edukacji i kultury narodowej" — STANISŁAW PARDO i MIKOŁAJ JEDNACZ; „Ochrona środowiska naturalnego" — RYSZARD MALINOWSKI; „Partia a ruch związkowy w Polsce — STEFAN KRYSTOSIAK; „Podstawowe problemy socjalne. Rodzina, świadczenia społeczne i polityka mieszkaniowa" — KRYSTYNA KOSTRO; „Polityka kadrowa PZPR" — JADWIGA KUCZYŃSKA i KAZIMIERZ PIOTROWSKI.

Przynależność do zespołów została zakwalifikowana na podstawie zainteresowań tematycznych i problemowych delegatów. Istnieje możliwość zmian, jeśli okaże się na Zjeździe, że niektóre zespoły problemowe są nieobsadzone.

Łomżyński zespół delegatów poparł ideę zaproszenia do udziału w pracach Zjazdu najwybitniejszych weteranów polskiego ruchu robotniczego.

PODSTAWOWA ORGANIZACJA PARTYJNA przy tygodniku „Kontakty" podjęła uchwałę w obronie zagrożonej egzystencji Polskiej Kroniki Filmowej. Po zapoznaniu się z jej treścią Naczelny Zarząd Kinematografii przy Ministerstwie Kultury i Sztuki przysłał następujące wyjaśnienie: „Departament Programowy NZK informuje, iż nie została podjęta decyzja o likwidacji ani o ograniczeniu ilości wydań Polskiej Kroniki Filmowej natomiast na okres przejściowy wprowadzono ograniczenia i zmiany w systemie rozpowszechniania Kroniki. I tak ze względu na dotkliwy brak taśmy filmowej w kinach wyświetlane jest tylko jedno wydanie Kroniki w tygodniu, w zmniejszonej liczbie kopii. Drugie wydanie PKF jest rozpowszechniane w telewizji. Jeżeli ulegnie poprawie sytuacja na odcinku taśmy, rozpowszechnianie PKF powróci do dotychczasowego systemu."

Wicedyrektor Deptaramentu Programowego
mgr Daniela Czarska

NA ZAPROSZENIE MDK-DŚT; WDK w Łomży gościła w województwie Pracownia Teatralna przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze" w Olsztynie. Ta awangardowa grupa określająca się jako „teatr wędrujący" zaliczana jest do czołówki tzw. teatrów poszukujących. W programie dziesięciodniowego pobytu znalazły się warsztaty dla członków zespołu teatralnego WDK i spektakle w Jedwabnem, Radziłowie i Łomży. Pobyt pracowni Teatralnej w Łomżyńskiem posłużył też do nawiązania stałej współpracy między WDK-DŚT a zespołem. W następnym numerze zamieścimy fotoreportaż z ulicznego spektaklu w Łomży.

NA POSIEDZENIU Wojewódzkiego Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, w którym uczestniczyli również przedstawiciele naszej redakcji, ustalono zakres współpracy na rzecz pielęgnowania tradycji i propagowania historii Ziemi Łomżyńskiej. Podjęto decyzję o kilku wspólnych zamierzeniach dotyczących np. utworzenia dorocznej nagrody im. Z. Glogera za najwybitniejsze publikacje książkowe i publicystyczne naszego regionu; stworzenia towarzystwa prasoznawczego, którego celem byłoby gromadzenie archiwum prasowego tego regionu i praca nad jego naukowym opracowaniem oraz podjęcia starań o stworzenie w Łomży unikalnego Muzeum Strachów, Demonów i Niesamowitości. W naszych zamierzeniach liczymy na aktywne wsparcie ze strony wszystkich miłośników Ziemi Łomżyńskiej oraz czytelników „Kontaktów".

NAJMŁODSZYM NACZELNIKIEM gminy w województwie łomżyńskim jest Józef Bogucki w Bogutach Piankach. Ma 23 lata i 11 miesięcy. Pracę w Urzędzie dzieli z zaocznym studiowaniem na SGGW AR w Warszawie. Jest członkiem ZSMP — jak zapewnia — rad byłby poprzeć choć jedno koło ZMW w swojej gminie, gdyby się takie zawiązało.

NIEDOPAŁKI PAPIEROSOWE wzrosły w cenie. Przeszukiwane są wszelkie śmietniki, na których nie zmarnuje się nawet milimetr tego rarytasu. Cena „Popularnych" wzrosła już, jak podają niektóre wiejskie „czarnorynkowe" źródła, do 60 złotych za paczkę. Z coraz większą siłą i zrozumieniem swego nałogu potęguje się solidarność palących Jednym papierosem potrafi podzielić się siedem osób. Dane te otrzymaliśmy ze wsi Wojny Szuby w gminie Szepietowo.

Dla nich m.in. przekazujemy optymistyczniejsze wieści nadchodzące z Wydziału Handlu i Usług UW. Od 10 bm. wprowadzi się na terenie naszego województwa reglamentowaną sprzedaż papierosów. 9 paczek miesięcznie nabyć będzie mógł każdy dorosły posiadacz kartki na cukier (z symbolem C-2) we wszystkich sklepach i kioskach. Likwiduje się natomiast sprzedaż papierosów w lokalach gastronomicznych.

MOŻNA ZARZUCIĆ BIUROKRATOM bezmyślność i brak kompetencji, ale jedno należy im oddać — wrażliwość na „estetykę otoczenia". Przekonało się o tym swego czasu kilku mieszkańców z ulicy Łabno w Kolnie, którzy otrzymali upomnienia z Prezydium MRN. W uzasadnieniu czytamy: „posesja obywatela nie posiada właściwego ogrodzenia, co niewątpliwie szpeci estetykę otoczenia. Kolno 23.03.1973". Opornych turpistów postraszono grzywną. Minęło osiem lat. Skarceni obywatele już dawno zadośćuczynili życzeniu subtelnych urzędników. Jednakowoż prostaczkowie pytają, brnąc po pas w grzęzawisku, które zowie się ich ulicą: „Czy brak ogrodzeń szpeci widok otoczenia, czy też fatalna droga szpeci domy przy niej postawione?" Redakcja w takiej delikatnej materii jak gusta estetyczne kolneńskich urzędników nieczuje się powołana do wydawania sądów. Uważamy jednak, że decyzja nakazująca postawienie ogrodzeń bez budowy drogi, czego od lat domagają się mieszkańcy tej ulicy, jest głęboko słuszna i dalekowzroczna. Nikt nie utonie w kałużach — zawsze zdąży uchwycić się płotu.

ŁOMŻYŃSKIE ZAKŁADY SPOŻYWCZE wypuściły na rynek produkt o smakowitej nazwie: „Fasola z wieprzowiną" oraz „Kasza z wołowiną". Klienci są w siódmym niebie, mają tylko małą prośbę, żeby do puszek dołączyć mikroskopy lub przynajmniej szkła powiększające. Inaczej nie sposób dostrzec gołym okiem owej wieprzowiny i wołowiny.

SWOJE SKROMNE ZASŁUGI w niszczeniu ostatnich bastionów kapitalizmu mają władze Ciechanowca. Pozamykano prywatne cegielnie i doprowadzono do ruiny młyny wodne w Polkowicach, Ciechanowcu i Kuczynie. W miejsce antysocjalistycznych przeżytków zafundowano w Ciechanowcu młyn elektryczny. Młyn ten, jako wyraz dynamicznego postępu i cywilizacyjnego skoku w XXI wiek, stoi obok tamy wodnej. Wystarczyłoby postawić w tym miejscu turbinę wodną, by mieć darmową energię. Proponujemy, by rolnicy wręczyli władzom miasta w dowód uznania, za udowodnienie, że małe jest brzydkie — kamiennych żaren. Jak zbraknie energii elektrycznej będzie jak znalazł.

PYTANIE za pięć punktów: Co serwuje Bar Mleczny w Łomży — wodniste mleko czy mleczną wodę?

kontakty kontaktów

Jesteśmy zbulwersowani artykułem red. Wawrzyńca Kłosińskiego „Zejść na ziemię", który ukazał się 25.06. br. w „Gazecie Współczesnej". Materiał omawia I Wojewódzki Zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej, który odbył się 22 bm. w Łomży. Dość długi artykuł naszpikowany jest sfałszowanymi faktami, pełen ironii i niezrozumiałych aluzji. Jako członkowie ZMW, delegaci na ten Zjazd, nie możemy nie reagować na takie ataki.

Nasz związek odradza się, liczba kół i członków powiększa się z godziny na godzinę. Koła powstają z inicjatywy oddolnej, wiele protokołów z założycielskich zebrań jest jeszcze w drodze, dlatego trudno jest oficjalnie określić stan aktualny organizacji wojewódzkiej. Red. Kłosiński pisze: „około 35 kół, w których działa około 500 członków" — ironicznie stara się czytelnikom przedstawić niewiarygodność danych, przedstawionych przez Tymczasowy Zarząd Wojewódzki ZMW. Ten żart zawarty jest we wstępie, a prawdziwy kabaret oszczerstw i kłamstw następuje w części właściwej.

Nie wiemy, czym sugerował się red. Kłosiński stawiając w pierwszych zdaniach naszą organizację na straconej pozycji, podając w wątpliwość przyszłość ZMW. Jadąc dalej przyznajemy, że przeważającą liczbę delegatów tworzyli pracownicy administracji rolnej, to jednak połowę dyskutantów było autentycznymi rolnikami, a tego szanowny redaktor nie zauważył. Nawiasem mówiąc, pozostałe 50% delegatów — dyskutantów, poruszyła również palące sprawy chłopów i tradycji wsi, a zjazd jest przecież tylko wstępem do dyskusji i działania nawet ironicznie: „dobrze więc się stało, szej organizacji.

Dalej kol. Wawrzyniec twierdzi że na temat samego programu mówiło się niewiele". Chcemy wyjaśnić, że naszym programem jest realizacja problemów poruszanych na Zjeździe przez rolniczą i nierolniczą młodzież wiejską, a nie chodziło nam o stworzenie dokumentu pod tytułem „Program", który byłby listą kolejnych postulatów, niemożliwych do zrealizowania. Odsyłamy Kolegę do wytycznych programowych przyjętych przez Zjazd, które pomogą właściwie zrozumieć problem.

Autor zarzuca też nam rzekomą podjazdową walkę o członków z ZSMP. Redaktor Kłosiński chyba nie zdaje sobie sprawy, że takie słowa w środkach masowego przekazu służą do prowadzenia konfliktu ZMW—ZSMP, a nam o to nie chodzi. Wystąpienie kol. St. Krotoszyńskiego z ZK ZMW nie było atakiem na ZSMP, jak odebrał to red. Kłosiński, lecz obroną, ponieważ pierwsze słowa na temat „złych" stosunków ZMW—ZSMP padły z ust przewodniczącego ZW ZSMP kol. H. Gryko. Zresztą nikt z delegatów nie poruszył tej kwestii. Dziennikarz podaje dalej interesujący przykład Kramkowa gm. Wizna. Ciekawi jesteśmy, jakie argumenty skłoniły młodzież z tej wsi, do powrotu do ZSMP w ciągu tylko dwu dni? Gratulujemy ZSMP, że tak wspaniale potrafił reprezentować interesy młodzieży wsi Kramkowo oraz członków, którzy tak często zmieniają barwy organizacyjne.

Nieszczęśliwym gościem „niedemokratycznych" obrad, który to czuwał nad kierunkiem dyskusji był sam red. Kłosiński, a jego poniewiercą kol. Krotoszyński, który przypomniał tylko, kto jaką rolę na Zjeździe odgrywa.

Dalej autor dzieli wystąpienia na bardziej lub mniej śmielsze. Ciekawe, które z nich były autorowi na rękę?

Dziwne przeobrażenia dokonują się w notesie dziennikarskim na trasie Łomża—Białystok. Na Zjeździe wystąpienie gościa z ZMD przyjęto z niesmakiem, a w Białymstoku pisze się o ogromnym aplauzie po tym wystąpieniu.

Podejmując kwestię honorowego członkostwa ZMW, redaktor sugeruje zbytni pośpiech w przydzielaniu tego „przywileju". My uważamy, a to jest najważniejsze, że i tak zbyt długo czekali oni na to wyróżnienie. Podkreśla to również nasz stosunek do poprzedników.

Również inaczej przyjęliśmy słowa Franciszka Kubraka, ale ponieważ bardzo szanujemy tego weterana ruchu wiciowego nie wracamy do tej sprawy.

Zarzucając delegatom całkowity brak znajomości rzeczy, jeśli chodzi o podział majątku byłej FZSMP, czy jest tym brakiem dopominanie się o swoje starych ZMW-owców?

Zbliżając się do końca, autor snuje swoje refleksje na linii: Zjazd — program — rzeczywistość, wątpiąc we wszystko. Łączy to dalej z własnymi wspomnieniami z ZMW, zakurzonymi i polukrowanymi przez ostatnie lata. Dziwi nas, jak stary ZMW-owiec może tak nieprzychylnie podchodzić do swoich następców, już na początku robią im antyreklamę. A może lata etatowej pracy w ZSMP odegrały swoją rolę?

W ostatnim akapicie autor przechodzi sam siebie. Bo oto, ci nieodpowiedzialni i pozbawieni poczucia demokracji delegaci potrafili, o dziwo, wybrać tak odpowiednią osobę na przewodniczącego ZW, jakim jest nasz zaufany kolega Jurek Dołęgowski.

List nasz kierujemy nie do „Gazety Współczesnej", lecz właśnie do „Kontaktów" dlatego, iż mamy do Was zaufanie. Wierzymy, że nie podejdziecie do naszego protestu obojętnie i potraktujecie naszą polemikę z GW, jako dobrą zapowiedź na dalszą współpracę tygodnika z ZMW.

Publikując nasz list, staniecie razem z nami w obronie prawdy. Na koniec chcemy zauważyć, że list ten jest naszym osobistym protestem, delegatów na I woj. Zjazd ZMW, szeregowych członków. Wierzymy, że wspólnie będziemy wprowadzać w życie hasło ostatniej Uchwały Rady Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: „Wiarygodność prasy, wa-

Z młodzieżowym pozdrowieniem
runkiem wiarygodności władzy".

Andrzej Dąbrowski
rolnik wieś Jabłonka Kościelna
Leszek Biały
rolnik wieś Jabłonka Kościelna
Jabłonka Kościelna, 26.06.1981

Konkurs na reportaż „Boryna 81" przedłużony

Przypominamy, że redakcja łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty" i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza ogłosiły ogólnopolski konkurs na reportaż pod nazwą „Boryna 81".

Pojemne hasło konkursu pozwoliło autorom penetrować różne dziedziny życia współczesnej wsi. Organizatorów interesują przede wszystkim: świadectwa dochodzenia do głosu chłopskiej obywatelskości; status społeczny rolnika; kształt samorządności wiejskiej; świeżo — wywołane nie tylko odnową życia zbiorowego — starcia i konflikty; relacje: rolnik — urząd — władza; oceny: wieś w oczach miasta, miasto w oczach wsi (wyobrażenia, uprzedzenia, kontakty wzajemne); hamulce rozwoju gospodarstw rolnych; społeczne mierniki wartości człowieka na wsi i ich wpływ na ukształtowanie się gminnej hierarwiejskiej i problemy młodego pokolenia wsi; takie cechy przedstawicieli społeczności wiejskiej, które sprzyjały przetrwaniu tradycyjnego gospodarstwa wiejskiego lub jego przeobrażeniu w nowoczesny warsztat produkcyjny; istotne przemiany w obyczaju i kulturze wsi — słowem: jak dalece wizerunek współczesnego rolnika odstaje od Reymontowskiego wizerunku Boryny.

Nie opublikowane dotychczas prace (opatrzone godłem i danymi o autorze w oddzielnej kopercie), w objętości nie przekraczającej 15 stron maszynopisu (ale mogą też być specjalnie zakomponowane tryptyki), prosimy nadsyłać pod adresem redakcji „Kontaktów": ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża.

Jury, pod przewodnictwem Klemensa Krzyżagórskiego, przyzna następujące nagrody:

I — 15 tysięcy złotych
II — 10 tysięcy złotych
III — 5 tysięcy złotych

oraz trzy wyróżnienia po 3 tysiące złotych.

Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału ogólnej puli nagród.

Termin składania prac na ogólnopolski konkurs na reportaż pod nazwą „Boryna 81" przedłużony do końca lipca br.

zdarzenia

o czym muszę powiedzieć

KRYSTYNA KOSTRO, rolniczka we wsi Moczydła Stanisławowięta, w gminie Szepietowo, absolwent SGGW AR: — Jednej rzeczy nie mogę zaakceptować — kierowania opinii publicznej na tzw. prominentów, którzy są — rzekomo — jedynie winni katastrofie gospodarczej i rozkładowi moralności socjalistycznej. Z całą stanowczością stwierdzam, że nieuczciwość, nierzetelność, kombinatorstwo i cwaniactwo równie chwalebne jak w Warszawie, funkcjonowało i w naszej gminie. I nie sądzę, żeby była w tym odosobniona.

Przez brak właściwego wychowania ideologicznego, sprawnie funkcjonujących norm moralnych zostały — nie tylko wśród członków Partii, ale i u pozostałych Polaków — zwolnione hamulce moralne. Ojciec z matką rozmawiając przy obiedzie o tym, co jedno załatwiło, a drugie skombinowało w godzinach pracy, nawet nie zwracali uwagi na fakt, że siedzą obok dzieci. Dni mijały, a one rosły w klimacie pochwalającym obrotność i tzw. życiową zaradność.

W moim głębokim przekonaniu nie są istotne polowania na grube ryby, ile powszechne nieposzanowanie naszego wspólnego dobra. Myślę, że zdecydowana większość kradła i robi to dalej, jedynie każdy na miarę swoich możliwości. Jeden miał dostęp do XVII-wiecznej porcelany, drugi do ropy i części zamiennych w eskaerze. Jeden na nasz koszt poznawał świat i zwiedzał kasyna gry, a drugi, przychodząc nominalnie do pracy na godzinę siódmą, dopiero o ósmej kończył czytanie gazety, snucie opowieści o tym, co było w domu, a o dziewiątej pił herbatę. A w ogóle z tym piciem herbaty, to dziwna rzecz. Niektórzy wypili jej tyle, że tylko patrzeć jak zżółkną. Chyba czekają na przyjście bratniej rasy. Ten łańcuch wzajemnej demoralizacji jest bardzo długi.

Zwykłą nieuczciwością jest to, że nawet w wyznaczonych godzinach rolnik nie zastaje ich w pracy; spółdzielnie kółek rolniczych oszukują chłopów złymi usługami; w samych zakładach tolerują kradzież. Również chłopi oszukują jeden drugiego, przekupując traktorzystów, by z pominięciem kolejki wykonali dla nich usługi. Mieszalnie pasz nie trzymają się receptury kradnąc składniki najbardziej poszukiwane, a potem zdziwienie, że kury się nie niosą, prosięta zdychają. Nie byłoby tej kradzieży, gdyby nie amatorzy kombinowanej paszy. W mleczarni natomiast uczciwy chłop oszukiwany jest na procencie tłuszczu, bo cwaniak dolewa wody do mleka i wychodzi na swoje. Mieć do czynienia z geszkoły, to codzienny stres. Nigdy esem, dla rolnika czysta udręka. Sklepy otwierane i zamykane są według widzimisię sklepowych. To wyjechała do hurtowni, wyszła do biura, albo kilka dni przyjmuje towar, a ukoronowaniem wszystkiego jest spis kontrolny.

Chłop musi więc po głupie gwoździe czy zwykłe buty jeździć kilka razy. Jest to okradanie ludzi z czasu, który można by poświęcić na lepszy cel. Draństwem jest produkcja bubli, które rolnik musi w dodatku kupować za ciężkie pieniądze. Na przykład: osławione, łamiące się w gnoju widły; gwoździe gnące się w palcach. A najlepsza sprawa jest z traktorem. Szczęśliwy nabywca prowadzi go z Ursusa do zagrody i już drży, by z tej maszyny koła nie pospadały. A spadają, i to dość często. Nieuczciwość i lekceważenie dotyka każdej dziedziny życia.

Weźmy Zbiorcze Szkoły Gminne. Pomijam to, że są źle zorganizowane. Ale na taki luksus, jak uczciwość w stosunku do dzieci powinno nas stać. Dla dziecka wyprawa do

korowód

cwaniaków

nie wie: czy będzie autobus, czy będzie czym wrócić do domu, czy nauczyciel poprowadzi lekcję. Nie mówię o szklance mleka, która raz jest, raz jej nie ma. Zabrano dzieci z domu. Wychodzą do szkoły, gdy jest ciemno; wracają, gdy jest ciemno. Spotkałam się ze zdaniem, że szkoła dzieci pilnować nie będzie. Pytam się, za co odpowiada szkoła? Nie za naukę, bo muszę lekcję tłumaczyć ja. Nie za roboty, bo uczenie haftowania, tkania szalików, robienie kleju — należy do mnie. Nie za wychowanie obywatelskie, bo od tego są podobno tylko rodzice. Nie za bezpieczeństwo, bo w szkole dzieci robią, co chcą. Pytam się jeszcze raz: za co odpowiada szkoła? Pytanie to kieruję do Ministerstwa, Kuratorium, nauczycieli. Komu i czemu służą? Kształcimy masę plastyków, muzyków. Mówi się stale o umuzykalnieniu, wychowaniu plastycznym, o masowym sporcie. A gdzie są ci muzycy, plastycy, doktorzy wychowania fizycznego? Co robią po skończeniu uczelni? Dla kogo wykłada się społeczne pieniądze, skoro dzieci na wsi uczy jeden, niewykwalifikowany w tej dziedzinie nauczyciel? Nie może niczego nauczyć, bo sam nie umie rysować, śpiewać, prowadzić gimnastyki. A przecież wystaw sklepowych w wielkich miastach nie muszą wykonywać ludzie po wyższych studiach. Rezultaty i tak są mizerne.

spodarstwa, na skutek zielska (mam ponad 20 hektarów) nie będzie chleba dla około 10 tysięcy ludzi dziennie. Nasza wieś produkuje 16 tysięcy kg cukru. Jest to zaopatrzenie w ten artykuł dla 700 osób. A droga do wywozu buraków — istne topielisko. Nie ma pieniędzy na jej naprawę. Każą nam budować w czynie społecznym i nie dadzą nic poza tym.

Każdy człowiek ma przydział węgla na dom jednorodzinny, zależnie od metrażu. Każdy człowiek, ale nie chłop, który jeśli nie może wychować świni, albo ma inną hodowlę, to może marznąć. Myślę, że rolnik, to też człowiek. To zielone światło dla rolnictwa nijak nie może się zapalić. Przypomina łomżyńską dyskotekę na skrzyżowaniu. Tam są wszystkie światła, ale bez zielonego, które mruga tylko od święta.

Myślę, że to wszystko o czym mówię, spowodowane jest słabą władzą. Jedyna nadzieja opanowania kryzysu, to silny rząd, który powinien mieć swój autorytet, poczynając od szczebla centralnego. Kiedy partia zdobędzie zaufanie, będziemy mogli powiedzieć, że jest przewodnią siłą narodu.

Wezwanie towarzysza Kani do nas, członków partii o zrozumienie sytuacji i wzmożoną aktywność społeczną (nie ma miejsca w obecnej chwili dla ludzi nijakich) odczułam jako skierowane do każdego z nas osobiście, bo nie jest frazesem, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za losy naszej Ojczyzny.

Notował:

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. CAF

spięcia

Dla Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego i innych łomżyńskich placówek służby zdrowia nie jest świetlana ani najbliższa przyszłość ani teraźniejszość. Dosłownie ledwo trzyma się drżącej ze strachu przed zawaleniem posadzki, stacja krwiodawstwa przy ul. Armii Czerwonej; grożą rozstąpieniem się ściany wybudowanego stosunkowo niedawno baraku, w którym mieści się m.in. Wojewódzka Poradnia Matki i Dziecka; brakuje lekarzy, pielęgniarek, lekarstw. Nic też dziwnego, że poddawane ciągłym stressom kierownictwo dzień i noc marzy, by czas się zatrzymał i dał szansę na załatwienie najpilniejszych choćby problemów. Zresztą nie tylko marzy, o czym świadczy zawartość dużej, trzyczęściowej gabloty przy szpitalu wojewódzkim — ciągle świętuje się w niej 1-majowe święto. I słusznie, że nie powieszono np. szkicu, który informowałby pacjentów, gdzie mieszczą się poupychane po różnych zakamarkach miasta i samego szpitala poradnie, gabinety rentgenowskie, laboratoria. Niech ludzie krążą jak ćmy lub bawią się w podchody. Zawsze jest nadzieja, że błądząc nie trafią o czasie tam, gdzie zamierzali, albo — co nawet lepsze — padną po drodze zniechęceni wędrówkami.

*

Ostro, nie czekając na lepsze czasy, zabrał się za porządki nowy ordynator oddziału ortopedycznego w szpitalu w Łomży. Nakazał mianowicie wyjąć wszystkie klamki w drzwiach. Większość pomysł zaakceptowała, ale zrodziły się wątpliwości: czy też nowy szef jest na pewno fachowcem od połamanych kończyn, czy może bardziej — od nerwowo chorych. Wątpliwości rozwiałoby publiczne oświadczenie wskazanego, ewentualnie jego dalsze kroki ku odnowie, które zza każdego węgła śledzą tak pacjenci, jak i personel.

*

Mamy w Łomży nową rzekę! Płynie koło internatu Zespołu Szkół Budowlanych przy ulicy Zjazd. Czasami jej nurt jest bardziej, czasami mniej zasobny. Od 1972 roku mieszkańcy z sąsiedztwa systematycznie drepczą do dyrekcji Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, kolejnych prezydentów, wojewody — jako, że rzeczka ma podstawową, a dokuczliwą wadę: cuchnie. Ostatnio, kiedy z końcem czerwca Fekaliówka znów przybrała, jej przeciwnicy wpadli na inny pomysł. Rzadziej chodzą po urzędach w sprawie systematycznego oczyszczania szamba internatu, gdzie ma swe źródło ów ciek, a częściej — o zmianę jej koryta tak, by przepływało pod oknami Urzędu Miasta. Niech urzędnicy też mają trochę przyjemności!

*

Z usług łomżyńskiego „Orbisu" powinni korzystać tylko ludzie zdrowi. Na własnej skórze przekonał się o tym jeden z mieszkańców Łomży, który — zamierzając wyjechać na wczasy do Jeleniej Góry — kupił wcześniej dla siebie i dziecka bilety na PKS i PKP, wartości prawie 800 zł. W przeddzień wyjazdu znalazł się jednak w szpitalu i nie mógł ich wykorzystać. Za pośrednictwem żony zwrócił się do szacownej firmy z prośbą o zwrot pieniędzy. Podstemplowawszy uprzednio bilety w kasach PKP i PKS — na dowód, że istotnie nie zostały wykorzystane — udała się ona do „Orbisu". I tu zaskoczenie: Otrzymała tylko zwrot pieniędzy za bilet PKS-u tj. 120 zł, a co do opłaty za bilet kolejowy urzędniczka orzekła, że absolutnie nie zwróci, bo „z własnej kieszeni, to płacić nie będę". Zasadnie nie wyjawiła natomiast, czy jej samej grozi dodatkowy wydatek za ignorowanie klientów. I czy — za nieznajomość przepisów, za którą to bulą niedoszli podróżni — otrzyma specjalną nagrodę. Uważamy, że wystarczy order.

„Kontakty" we wsi Stanisława Kani

młode my byli,

ale mocne

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

— Wielka uciecha była we wsi, jak Staszka na I sekretarza wybrali. Każdy mu zaufał, bo dobry z niego człowiek, wyrozumiały na wszystkie strony — Teresa Sajdak, koleżanka Stanisława Kani ze szkolnej ławy, a zarazem sąsiadka przez płot jego matki, Katarzyny, opowiada, jakie wrażenie na mieszkankach Wrocanki wywarła wiadomość o wynikach VI Plenum KC PZPR.

— Ja to się od sąsiada dowiedziała — Elżbieta Buda zna Stanisława od „najpierwszych początków" — rano mnie zawołał i pyto: — Słyszałaś? A ja: — Rany Bohny co ty mówisz! Jego za młodu wołali „Staszek od pisarza", bo ojciec był pisarzem przy wójcie.

Orzechowicz, długoletni sołtys, twierdzi, że przepowiedział Kani ten wybór: — Przyjechał do wsi przed tym Plenum Wrześniowym, ja mu godom: — Tak mi się widzi, że wy Staszku zostaniecie pierwszym sekretorzem. Obruszył się wtedy na mnie: „A nie gadajcie, ja tego nie chcę".

Również Ignacy Tomasik, bliski kolega Kani w młodości mówi, że nieraz powtarzał swoim: — Zobaczycie Staszka zrobią sekretorzem.

— Jego matka była strasznie zła — mówi Teresa Sajdak. — My bali się powiedzieć, ale sama się dowiedziała z radia. Lekarz przyjeżdżał co chwila, takie miała podniecone nerwy i serce. Dopiero wnuk ją uspokoił.

— Ja płakała jak się dowiedziała. Ze szczęścia? Nieee. Jakie to szczęście — Katarzyna Kania, matka Stanisława, gniewnie wzrusza ramionami — ze zgryzoty płakała. On się wykończy. Do tego trzeba nerwów stalowych, a on ma serce nietęgie. Zrzekłby się. Nie może i tyle. Tamten naszabrował, a on musi prostować.

Wieś jak malowanie

Duża była moja konsternacja, gdy dojechałem do Krosna i na mapie połączeń autobusowych spostrzegłem dwie Wrocanki. Jedną pod Krosnem, drugą pod Jasłem. Wrocanka Kaniowa okazała się leżeć w odległości 10 kilometrów od — wijącej się wśród bukolicznych pól, łąk i wzgórz zielonych — asfaltowej drogi do Jasła. Podczas jazdy autobusem wypatrywałem przysłowiowej galicyjskiej nędzy. Na próżno. Prędzej znalazłbym ją na wsi kurpiowskiej niż tutaj. Mijaliśmy okazałe piętrowe murowańce o spadzistych, krytych blachą dachach. Z galeryjkami wzdłuż parteru i pierwszego piętra, z garażami. Dość wstrzemięźliwie w ten liryczny krajobraz powtykano budujące hasła. Zajechałem do Wrocanki dobrze pod wieczór. Rozprostowując nogi na trzech asfaltowych jezdniach, które rozchodzą się od przystanku autobusowego, podziwiałem domy, a jakże, murowane. Co okazalsze mają ściany przyozdobione kwiatami z lusterek — taki tu widać obowiązuje szpan. Gospodarskie obejścia wysprzątane, wymuskane; na wielu pysznią się traktory. Poboczem drogi ciurka w zdrenowanym kanale strumyk. Ho, ho! Są i lampy uliczne. Czyżby oko sekretarza Wrocankę tuczy?

Wieś rozłożyła się wygodnie w dużej kotlinie okolonej niewielkimi wzgórzami. Wdrapuję się na jedno z nich, gdzie mieszka na tak zwanym „przysiołku" sołtys Józef Bożek. Zastaję go z podwiniętymi nogawkami, na bosaka, koszącego trawę. Zagaduję o wieś. Sołtys opiera się o stylisko kosy i przez chwilę spogląda na panoramę Wrocanki, która stąd wygląda na las, gdyż z gęstwiny drzew wystaje tylko kilka dachów. Chwalę, że ładna jak malowanie, lecz sołtys nie podziela zachwytu: — Ja bym inaczej pobudował. Po wojnie chałupy były poburzone, popalone, można było wedle planów wytyczyć, a to stawiali bezładnie, gdzie komu popadło.

Wieś liczy 194 kominy. Piszę „kominy" łapiąc się na tym, że jest to bardziej reporterska kokieteria niż rzeczywistość, gdyż prawie w każdym domu jest gaz przewodowy. Na 800 mieszkańców, 200 osób, prócz gospodarzenia na kilkuhektarowych poletkach, pracuje w zakładach Tarnowca i Jasła. Istniejący do wojny podział chłopów — na kmiecych czyli najbogatszych; rolnych; półrolnych; zagrodników oraz komorników, którzy mieli tylko „budę" i najczęściej emigrowali — przestało obowiązywać ostatecznie po wojnie. Ale i parcelacja dworu w 1910 roku zmniejszyła głód ziemi, a zarazem różnice społeczne. Ziemia tutaj dobra — drugiej, trzeciej klasy, ale nie tylko z pracy na roli ludzie obrośli w dostatek. Dużą pomoc okazały rodziny wywodzące się z tych stron, które wyemigrowały „za chlebem". Sołtys upatruje źródła zamożności wsi również w czymś innym: — Ludzie są u nas nad podziw pracowite, każdy chce lepiej żyć, to i dużo pracuje.

Przed wojną tylko siedem chałup było pod dachówką, obecnie jedna jest kryta strzechą, pozostałe eternitem lub blachą. Notuję te liczby skwapliwie, by sprawić przyjemność statystom z komisji planowania, którzy lubują się w tego typu „miażdżących" zestawieniach.

— Tak liczę, że miesięcznie milion złotych przychodzi do wsi. No bo tak — sołtys zagina pierwszy palec — 200 ludzi pracuje w zakładach, biorą najmniej po trzy tysiące, 150 ludzi pobiera rentę, trzeba liczyć po 1500 złotych, a jeszcze dochodzą wpływy za buhajki, mleko, wieprzki... — więcej nawet jak milion, ale co z tego, jak i tak nic za to nie kupi.

Zgadało się jeszcze o drzewach owocowych, jako że pod jabłoniami rozmawiamy. Józef Bożek mówi, że z chwilą uruchomienia w Niegowicach, pod Jasłem, fabryki sadzy technicznej, drzewa we wsi owoce potraciły. Żegnam się z sołtysem po po obejrzeniu jego niedawno wystawionej zgrabnej chałupki oraz „daczy", jak sołtys żartobliwie nazywa, zbitą z desek altankę pod własnym laskiem.

Będzie to głupi

Kobieta, która wskazuje mi gdzie mieszka Katarzyna Kania, matka Stanisława, widząc, że wyciągm z torby aparat fotograficzny przestrzega mnie: — Niech pan nie robi zdjęć, bo będzie awantura. Tu już był reporter zagraniczny, ale nie dała fotografować, rozmawiać też nie chciała.

Chowam przezornie aparat do torby i skręcam z asfaltu na ścieżkę prowadzącą do dużego, ładnego domu. Daleko mu do standardu gierkówki z Klarysewa — pomyślałem w duchu, wkraczając na schody — ale trochę grosza musiał kosztować.

— Nie tutaj, za tym domem — kobieta prostuje moją pomyłkę. Robię kilka kroków dalej i staję zbity z pantałyku przed niskim drewnianym płotkiem. Przede mną parterowa, drewniana chałupinka z murowaną przybudówką, wszystkiego 12 kroków na 4. Naprzeciwko niej niewielka, drewniana stodoła. Za domkiem mały sad, w rogu między płotem a chałupinką bielona studnia; taka, co to pod węgiel i piórko profesora Zina się prosi. Rozglądam się niepewnie po obejściu zastanawiając się, czy przypadkiem kobieta nie zakpiła sobie ze mnie. Nagle w otwartym oknie mignęła czyjaś postać. Widać dostrzeżono zagapionego intruza. Zdecydowanie otwieram furtkę i pukam do drzwi, nad którymi wisi zardzewiały numer domu — 14. Pukanie jest już właściwie grzecznościową formalnością, gdyż wraz z „proszę" drzwi otwiera pochylona staruszka (w czerwcu kończy 78 lat), „zeschnięta na szczebel" — jak siebie określi. We flanelowej sukience w zieloną kratę, z narzuconym na nią fartuchem. Na głowie chustka, na stopach granatowe tenisówki.

Kaniowa odpowiada na moje „dzień dobry" i spogląda nieufnie. Gorączkowo tłumaczę, skąd i po co. Nieskładnie to idzie. Wyczuwam, że staruszka jest coraz bardziej wrogo nastawiona do mojej wizyty.

— Tu już byli z Francji, Włoch, ale nie rozmawiała, fotografować chcieli. Nie ma czego — Kaniowa siada na leżance pokasłując nerwowo. Siadam naprzeciw, na jednym z dwóch krzeseł. Zapada milczenie. Słychać tylko cykanie świerszczy i dalekie ujadanie psa. Myszkuję wzrokiem po obszernej izbie będącej równocześnie pokojem i kuchnią. Typowy wiejski dom. Proste niezbędne sprzęty: pod oknem stół, pod ścianami leżanka i łóżko, na lewo od drzwi biały kredens, na prawo kaflowa kuchnia z chlebownikiem, dwa zydle, taboret, stojak na miskę; podłoga wyłożona linoleum. Ściany zdobią obrazki ze świętą rodziną, z Chrystusem, dwa zasuszone kwiatki pod szkłem oraz barwny kalendarz ścienny „Baltony".

Czysto, schludnie, skromnie.

Z przedmiotów zbytku i luksusu... radio lampowe „Talizman" czeskiej firmy Tesla, pamiętające czasy naszego „Pioniera".

Rozmowa rwie się co chwila. Gospodyni pilnuje się, żeby nie powiedzieć za wiele. Zdania są krótkie, hasłowe. Narzekamy na zaopatrzenie, na ciężkie czasy.

— Sklep u nas już tydzień zamknięty, nic nie idzie kupić. Chleba i tak nie biorę, sama piekę, ten sklepowy to błoto.

Pierwsze lody pękły, Kaniowa zaczyna opowiadać:

— Mąż zmarł w 1932 roku. Atak serca złapał go przy kasie biletowej w Tarnowcu. Ostałam sama ze Staszkiem. Miał wtedy niecałe cztery lata. Mąż przed śmiercią był sekretarzem gminnym przy wójcie. Podatki pobierał, spisy robił, paszporty pisał... Miałam tylko kawałek ziemi, trochę więcej jak hektar, ale sama wychowałam Staszka i dobrze go wychowałam. Nie jest żadnym złodziejem. Szkołę kończył na wsi. W okupację pracował u kowala, że do partyzantów chodził, to się dopiero po wojnie dowiedziała. Nic nie zdradzał, bo wiedział, że nie pozwolę. Jak front przeszedł i wróciliśmy spod Krosna, to powała była spalona, drzwi i okna z futrynami wyrwane, ale pomału, pomału i się wyrychtowało. Co syn dalej robił, to już nie wiem. On sam sobą kierował. Mnie się nie zeznawał. Jak wstąpił do partii, to ja nawet nie wiedziała co za partia. Chciał działać, myśloł o tym, a ja jeszcze wtedy była zdrowo, dawała sobie radę, to i poszedł z domu. Wpierw do Jasła, potem do Rzeszowa.

Opowiadanie przerywa brzęk wiadra o cembrowinę studni.

— To Bożenka, córka sąsiadów — wyjaśnia Kaniowa podchodząc do okna. — Pomaga mi. W styczniu upadłam, jak szłam do stodoły, kręgosłup pękł, nie mogę się schylać.

Patrzy na krzątaninę dziewczyny, potem zwraca się do mnie:

— Panna robotna jak mrówka, wszystko zrobi, upiecze, ugotuje, opierze... jak pan kawaler to brać. — Bożenka staje w ogniu rumieńców, ale nie traci głowy. Kaniowa dyskretnie usuwa się w głąb izby, byśmy mogli pogwarzyć.

— Pracuję w cukierni, w Jaśle. Kobiety różnie wygadują na Kanię. Ja wiem najlepiej jak jest, bo koło ich domu mieszkam — rozmowa schodzi na niezwykłe sąsiedztwo — mówię im, to nie wierzą: „Tak się tylko przechwalasz". Kiedyś myślałam, że rodzina sekretarza w pałacu mieszka; no, Gierka pisali, że mieszka, ale tutaj sam pan widzi...

Zapraszam się na jutro rano do jej rodziców i wracam do Kaniowej, która z tekturowego pudełka wysypuje lekarstwa, połyka kilka tabletek i popija wodą.

— Udjobliło mnie, bardziej nie mogło. Nadawali mi lekarstw, ale tego najważniejszego nie mam. Syn bardzo przeżywa, że nie może mnie odwiedzić. Przedtem każdy miesiąc był obowiązkowo u mnie. Jest dla mnie bardzo czuły. Jak byłam operowana w Warszawie, to siedział przy mnie w szpitalu albo on, albo synowa, do pierwszej w nocy. Ostatni raz był na wilję. Całą rodziną przyjechał, tylko bez córki, bo dyżur miała w szpitalu. Następnego dnia sąsiedzi się zbiegli sprawy załatwiać i tyle go miałam. Najprędzej to wnuczek Mirek wpadnie. Stanisław nieraz chciał mnie zabrać, jeszcze jak był w Rzeszowie, ale nie chciała. — W Warszawie byłam kilka razy. Najdłużej trzy miesiące wytrzymałam. To nie dla mnie, skrawka zieleni nie uświadczysz. Zbrzydła mi Warszawa i wróciłam. Tutaj spokój. Rok będzie jak zdałam ziemię, dali rentę 1600 złotych, dla mnie starczy. Mam króliki, kurki. Dom kazała ostawić. Jak syn pójdzie na emeryturę będzie miał gdzie wrócić.

Gdy mówi, że już dawno nie słuchała radia, ani nie czytała prasy, „bo to człowieka już nudzi, że w kółko to samo gadają", pokazuję „Trybunę Ludu" z informacją, że I sekretarz St. Kania absolutną większością głosów zdobył mandat delegata. Kaniową ta wiadomość nie wprawia w euforię: — Zrzekłby się. Jaruzelski co mówił, nie ma wyjścia żadnego. Długi straszne, nie ma jak się wygrzebać. Cały czas strajki, strajki... niemożliwe co się dzieje. Chorzy na stracenie, starzy na stracenie — nie ma wyjścia. Ludzie nie wiedzą za co się wziąć. Rady nie dadzą. W Krakowie za 20 tysięcy towaru wyrzucili. No i po co wstrzymywać, do sklepu nie dać? W Krośnie kupe tłuszczów rozmaitych zgnoili. A Matko Święta!

Rozmowa wyczerpała gospodynię, gdyż coraz częściej pojękuje, bierze tabletkę od bólu głowy. Znak to dla mnie, że pora się żegnać.

Koleżeńskie wspominki

Teresa Sajdak wyglądała już mnie przez okno, uprzedzona wczoraj przez córkę. Z ciekawością tu zawitałem, jako że pomyliłem ten właśnie dom z domem Kaniowej. Z trzech córek pani Teresy jest tylko jedna — odrabia lekcje; mąż leży w ubraniu na leżance, łapie trochę snu po nocnej zmianie.

— Do jednej klasy my chodzili, ja ze Staszkiem z jednego roku. Bardzo dobrze się uczył. Same piątki od góry do dołu. U nas były tylko cztery klasy. Kierownik szkoły chodził do jego matki, żeby dała go dalej, ale się nie zgodziła. Jej wtedy było ciężko. Mąż zmarł. Została ze Staszkiem i z długami. Mąż chorował i dużo pieniędzy wydali na lekarstwa, na dodatek złodzieje okradli im prywatny sklep, który otworzyli w domu. Pracowita była bardzo, wszystko co do grosika spłaciła. Staszka krótko trzymała. Jak wróciła z pola, a on gdzieś z chłopakami ganiał po wsi, to lanie dostawał, że hej! Staszek był trzecim dzieckiem, dwoje rodzeństwa zmarło.

Gdy do drzwi stuka Kaniowa, Teresa Sajdak każe mi zamknąć zeszyt. Jak sołtys dał wywiad, to strasznie na niego krzyczała. Pani Teresa też ma wątpliwości, czy dobrze robi mówiąc mi to wszystko. Pyta się mnie o zdanie. Przekonuję, że dobrze, bo ludzie różne bajdy plotą na temat Kani, że w pałacu mieszka.

— Tak, tak — potakuje Sajdakowa — wygadują takie głupoty. Już zdecydowana mówi dalej: — Jak jej bratanek wyjechał do Ameryki, zostawił trochę pola, tak że razem miała ze dwa hektary. Staszek co mógł, to jej pomagał.

Opowiadanie przerywa wizyta Jana Urama. Widział mnie, jak szedłem do Sajdaków i zwabiony ciekawością, co ja za jeden, zajrzał tutaj.

— Niech Uram coś wam powie, razem ze Staszkiem w kuźni robił — reklamuje gościa pani Teresa.

— No jak, na dwa młoty my robili. Ja od niego o pięć lat starszy. Nie będę obwijał w bawełnę, ale dużo ludziom pomógł. Spokojny, nie był awanturnik, nie był pijak — natura ojca; oczytany, na poziomie facet.

— Pamiętasz jak tu na ogrodzie stały działa rosyjskie i polskie? — Sajdakowa przypomina sobie dramatyczny moment życia Stanisława. — Sześć miesięcy trwał we wsi front. Strzelali koło Kaniów. Staszek był w schronie z doktorem z Bydgoszczy, akurat stanął koło wylotu, jak pocisk trafił w schron i zwalił ścianę. Jak ludzie odkopali ich, doktór już nie żył, Kania był siny, klęczał, ale udało się go jeszcze odratować. Do wszystkiego był pierwszy. Jeździł na kursy polityczne — taki był w tym kierunku zamiłowany. Wówczas potrzebowali młodych ludzi — mówi Jan Uram — to go zabrali do Jasła.

— Matka nie chciała go puścić — kontynuuje Sajdakowa — miał fach kowalski, więc chciała żeby w chałupie ostał, a nie jeździł po świecie. Jego jednak bardzo ciągło na te kursy. Matka krzyczała, obgadywała go, tak że bał się czasami wracać do domu. Jednak o matce nigdy nie zapomniał. Z Rzeszowa przyjeżdżał co tydzień.

Ponownie w drzwiach pojawia się matka Stanisława. Poszeptała z Sajdakową i po chwili na stole pojawił się pachnący, bielutki wiejski chleb, jajeczka i mleko prosto od krowy. Chleb przyniosła Kaniowa. Nie daję się długo zapraszać.

— Jeszcze zanim zaczął pracę w Warszawie często przyjeżdżał na urlop z żoną. Matce zboże kosił. Później wnuki jej pomagały.

— Panie, jak był w KC to tak ludzie szli, że nie miał czasu z matką porozmawiać — Tadeusz Sajdak przebudził się z drzemki. — Inne wioski zazdrościły nam Kani. We wigilję też walili oknami i drzwiami. Jeden o sanatorium, drugi o ciągnik, trzeci żeby syna z wojska odebrać...

Teresa Sajdak: — Ta wilja była u nich całkiem inna jak zawsze. Przedtem nie zostawał; mówił, że obowiązki go wzywają i wyjeżdżał. Teraz obiad był.

Jan Uram: — Staszek był w Rzymie u papieża. Kaniowa się wtedy na mnie pogniewała, bo mówiłem, że musiał ciężko nagrzeszyć, skoro aż do papieża jeździł się spowiadać.

Drobny deszczy, który mżył podczas rozmowy za oknem, ustał. Korzystając z okazji, że słońce wyjrzało zza dużej chmury obejrzałem ze wszystkich stron dom rodzinny Kani. Kaniowa rada by mnie czymś ugościć, ale i kapusta się w beczce skończyła, kupić nic nie idzie, bo sklep zamknięty więc chociaż może jajeczka ugotuje... Dziękuję serdecznie, gdyż widzę, że czarne chmury nawałnicą pędzą, a chcę jeszcze zobaczyć miejsce, gdzie stała kuźnia. Kaniowa drepcze za mną na drogę, by upewnić się, czy aby na pewno jej nie sfotografowałem.

Obok domu pani Wójcikowej, wdowy po kowalu, mieszka Weronika Sanocka — najstarsza, bo 60-letnia członkini „Solidarności Wiejskiej.

— Ja sobie pomyślała: każdemu wolno należeć, jedni — Pac! Ręka pani Weroniki uśmierca muchę na stole — do partii należą to i ja mogę do „Solidarności". Mnie to się bardzo podoba. Kanię znam. Bardzo my chwalili. Jak co chciał, to poprosił. Inne urwisy jabłka obtrząsały, a on ani jednego nie podniósł. Przyszedł, spytał się czy może pozbierać. Mówią, że Kania będzie lepszy niż Gierek, ale bałagan jest nadal i — Pac! Druga mucha podzieliła los pierwszej. Uprzejmy jest — nie powiem — kiedyś szłam do kościoła, to się zatrzymał samochodem i podwiózł mnie. A rety!

Pani Weronika klaska w dłonie; ciasto na chleb urosło i trzeba je na gwałt piec, pranie rozwiesić, zwierzętom karmę nagotować... „Upracujemy się od raniusieńka do szczerej nocy".

Od Sanockiej biegnę do Elżbiety Budy, która była łączniczką w oddziale BCh.

Jak to na wojence

— Nasz oddział był mały, większy był na Gąsówce. Chyba AK. Mnie wybrali łączniczką. Kania ulotki nam dawał, a my upychali po ludziach. Walk oddział nie prowadził. Jeńcom w obozie w Szebnie żywność się nosiło. Jak ich prawie żywcem palili w Dobrucowskim lesie — Żydów i Polaków — to niektórzy zdołali uciec. U nas jeden z nich się ukrywał przez półtora miesiąca. Karmiliśmy go. Jak tylko 13 stycznia 45 roku wieś wyzwolono, to już 17 Staszek ZWM założył. 35 młodzieży należało. Z bunkrów nosilim deski, żeby świetlicę wyszykować. Na 1 maja 45 roku po zaminowanych polach szliśmy na pochód do Jasła z orkiestrą, sztandarami — pokazuje zdjęcia młodych ludzi stojących pod świetlicą. Wśród nich Stanisław Kania.

— My działali, jeździlim na akademie, na otwarcie świetlic, dawaliśmy referaty i występy artystyczne. Teraz młodzież nic nie chce robić, telewizja ich odciąga. Wtedy nie było wiecu, żeby nas zabrakło. Jak my grali przedstawienie, to Staszek chodził, błagał każdego z osobna żeby przychodzić. I przychodzili, mimo że to była zima, a buty nie każdy miał. W 45 roku byliśmy w Warszawie na pierwszym zlocie młodzieży socjalistycznej. W „krakowiakach" przez całą Polskę jechaliśmy. Byliśmy tam trzy dni. Oprócz imprez było odgruzowywanie miasta. Widzieliśmy też otwarcie mostu Poniatowskiego. Wszystko Kania organizował. A jaki wesoły chłop z niego. Do wszystkiego. Mieliśmy śliczny fortepian ze dworu, to robiło się potańcówki. U dziewczyn miał powodzenie, przystojny to i biegały za nim — podsuwa mi zdjęcie młodego człowieka o bujnych blond włosach zaczesanych do tyłu i chmurnych oczach.

— Ambitny był; ile razy zaszłam do niego, to siedział nad książkami, czasem późno w noc. On poszedł w Rzeszów, inni pojechali na Śląsk, kilku do szkół politycznych, dwóch zginęło, we wsi paru nas ostało. O Staszka bym się biła z każdym człowiekiem. To ideał chłopak. Jak przyjedzie z ludźmi porozmawia, pomoże im. Taki jest, że wszystkim by się podzielił. Nawet ostatnim kawałkiem chleba.

Ze Stanisławem Kanią „partyzantował" również oraz kuł konie, Ignacy Tomasik. Szparko idę, bo niebo znów ciemnieje i pomrukuje złowrogo. Nie zdążyłem. Raptem gruchnęło i zaczęło lać. Obok mnie przegalopowały konie ciągnące furę z ludźmi. Mnie z kąpieli ratuje Klekotowa. Wpadam do nich nieco zmoczony, za mną jej mąż Julian. Z rozmowy o niezwiezionym sianie schodzimy niespodziewanie na... partyzantkę. Ki diabeł, gdzie człowiek nie zajdzie, to byli partyzanci albo kowale, współtowarzysze pracy i broni Kani.

— Ja byłem łącznikiem. Nosiłem listy do Sądkowej — taka wieś. Za pasem obowiązkowo butelka z wodą, żeby w razie czego zjeść list i mieć czym popić. Przysięgę składaliśmy 43 roku, razem z Kanią. Broni było niewiele, trochę urzynków, amunicji też nie bardzo, tle co od września. Nauczyli nas jak posługiwać się bronią, jak rzucać granatami przeciwczołgowymi. Ze Stanisławem razem kawalerowałem. W „pliszkę" się grało, w noża, w siatkę..., ale on był więcej do książki niż do zabawy. Nie raz widziałem, jak gnał krowy, a pod pachą książkę trzymał.

Burza, jak gwałtownie wybuchła, tak nagle ucichła. Po gliniastej, rozmytej bocznej drodze brnę do Ignacego Tomasika. Okazuje się, że na tej furze umykającej przed deszczem siedział właśnie on z synem. W kuchni lekki bałagan, gdyż w domu tylko panowie urzędują.

— Dużo my nie nawojowali, a właściwie to nic, bo nie było czym. Czasami Sanocki Józef — nasz komendant, robił nam szkolenie polityczne. Ze Staszkiem wspólnie u kowala terminowalim. Staszek od 42 do 44. Ja rok dłużej. Zdobył papiery czeladnicze. Młode my byli, ale mocne. Jeszcze dzisiaj dać Kani rękę to jak kamień twarda. Mieli my markę. Staszek dużo się w kuźni nasłuchał bo tam przychodzili Biernaccy z Potapówki — sąsiedniej wsi; żona kowala była z domu Biernaczonka. Książki różne przynosili, takie więcej komunistyczne i Staszek się od nich uczył. Po wojnie z Kanią czołgi rozwalaliśmy, które ostały się we wsi po froncie. Nie było akurat garnków, a do Wrocanki przybył giser. Nosiliśmy do niego aluminium z tych czołgów i on lał z nich garnki. Trwałe były, do dziś mam jeden. Staszek po wojnie trochę bał się, bo mogli go kropnąć za partię. Zapisał się też do ORMO i dali mu broń, krótką i długą. Gdzieś w 46 wyjechał. Teraz też przyjeżdża do Wrocanki. Wsi się nie wstydzi. Dzieci podwiezie z przystanku. Ludzie mu nie dają pobyć. Idą do niego z różnymi głupotami. Nawet o miedzę. U mnie był ze cztery lata temu. Siedziałem, jak teraz z panem, patrzę przez okno, a tu czarna wołga zajeżdża. Przysyłał mi też kartki. Z Moskwy, Jugosławii... W zły czas przyszło mu rządzić.

Gdy tak gadu, gadu pan Ignacy poszperał w lodówce i stawia na stole słój, z którego rozchodzi się aromatyczny zapach po kuchni. Boże ty mój! Swojska kiełbasa!!!

— Niech pan je, kielicha nie mam, bo nie ma gdzie kupić. Pałaszuję, aż się uszy trzęsą, a pan Ignac opowiada mi jeszcze o perypetiach sercowych Stanisława: — Mało brakowało, a ożenił by się we Wrocance, ale rodzina młodej nie chciała się zgodzić, bo on niewierzący. Panna z tego wszystkiego poszła do zakonu.

Komunista — nie powiem — szczery

Tuż przy okazałym domu byłego sołtysa, tylko ciut wyżej, stoi kuźnia. Zwabia mnie do niej odgłos kucia. Przy kowadle zastaję Bolesława Radonia, zięcia sołtysa.

— Kanię pamiętam jeszcze z kuźni. On już kończył pracę, a ja dopiero zaczynałem. Jak jeszcze był w Rzeszowie, to czasami zaszedł do mnie. Brał młotek, ale już mu nie szło. Wyszedł z wprawy.

Pan Bolesław zamyka kuźnię i prosi do domu. Siadam naprzeciw Orzechowicza, który 12 lat sołtysował wsi. Dyktuje mi długaśną listę inwestycji, o które czynił starania: — Zaczęliśmy od szkoły. Potem zaraz elektryzowało się wieś i dom ludowy budowało, dalej: światło uliczne, telefon, drenacja, basen przeciwpożarowy... Powiem panu wprost, dużo Staszek pomógł. Ja się z nim w każdy miesiąc widziałem. Mieliśmy kłopot z asfaltem, Stasiu — godom mu — pomóż nam. No i załatwił. Rejon Dróg Publicznych dostał jaki trzeba sprzęt i mieliśmy drogę. Dużo wiosek wtedy skorzystało, nie tylko nasza. Jo był takim pośrednikiem. Z PKS-u przyjechali do mnie i mówią: „Słuchajcie dają nam autobusy zepsute, stare, pogadaj". Poszedłem. Staszku tak i tak. Matka jego potwierdziła, no i przydzielili nowy autobus. Chłop z niego na miejscu.

Idąc do przystanku autobusowego skręcam jeszcze do Stanisława Fabera.

— Nie ma co dużo pisać o naszym kole. Mam tylko 14 członków, ale wiem, że na żadnym się nie zawiodę. Za młodych lat nieraz rozmawialiśmy na tematy polityczne. Tu we Wrocance przed wojną był silny ruch ludowy. WICI było „Wyzwolenie" Komunistów niewielu. Był jeden Buda, który przed drugą wojną przebywał w Peszcie. Jak wrócił, to rozpowiadał, jak to będzie dobrze za komunizmu. My będziemy pracować i dzielić po równo, a on będzie nami zarządzał, bo ktoś musi być od kierowania. Po wojnie powstało we wsi PSL i WICI oraz PPR i ZWM. Ja byłem przewodniczącym WICI a Stanisław — ZWM. Oni obradowali w świetlicy, a my w szkole. Kania dążył do zjednoczenia. Brał mnie pod rękę i chodzili my po wsi, a on tłumaczył mi: „Staszek chłopy zawdy mieli gorzej od robotnika, i z robotą, i ze wszystkim. Jak się zjednoczymy, chłop będzie żył jak robotnik, wypłata co miesiąc, tyle samo roboty..." Nie zgodzili my się. Stanisława okropnie przekabacili na tych kursach partyjnych, ale komunista — nie powiem — szczery.

ADAM JERZY SOCHA
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

historia i dzień dzisiejszy

różaniec historii

Władysław Tocki

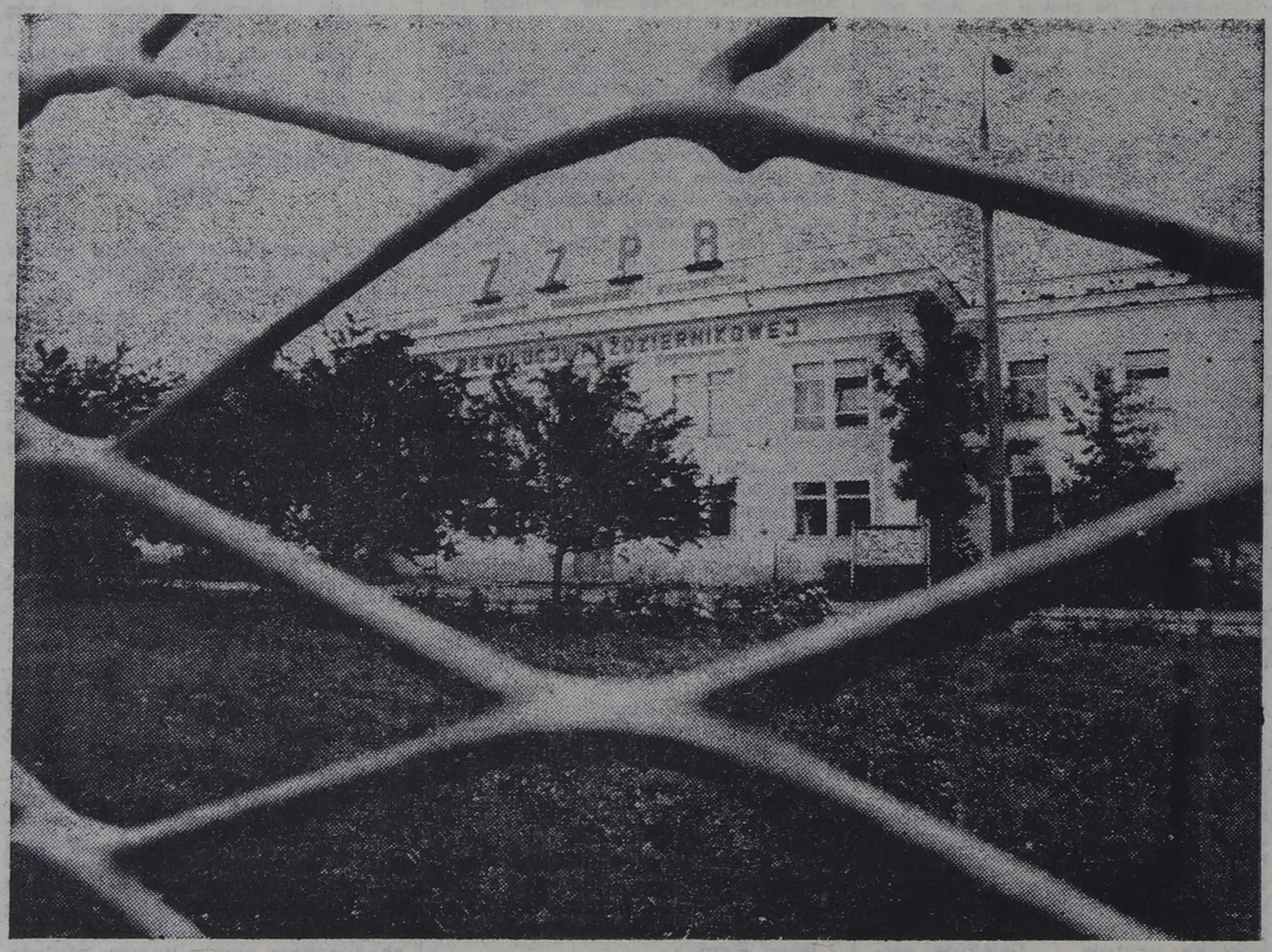

Wśród solidnych, mieszczańskich lastryków, wąskich przejść dzielących leżące pokotem całe zambrowskie rody, bezwiednie układa się bolesny różaniec historii, posępna księga narodowego kalendarium — 1795, 1863, 1939, 1945... Otwarta, uzupełniana. Na szczęście jej kolejnych stron szukać trzeba w tym mieście daleko od cmentarza. Tkwią w ludziach.

☆

Najpierw jest czas, kiedy Zambrów wyprzedza historię. Nim jednak to się stanie, wkracza socjalizm. Otrzymuje nazwę: Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego dać ma nie tylko zatrudnienie „wykorzystywanym przez okolicznych kułaków" mieszkańcom, wypędzić nędzę, lecz przede wszystkim przeobrazić umysły i „miejsce, gdzie w rozpaczliwej samotności umierają mądrzy ludzie". W 1952 roku rusza więc w Zambrowie pierwsza przędzalnia, jedyna w kraju przerabiająca najgorsze gatunki bawełny. Aby zapewnić pełną obsługę dla prawie pięciuset zgrzeblarek z zapadłych wsi, z jednoizbowych chałup, w zetempowskim zaciągu, formuje się blisko tysiącosobowy zastęp dziewiętnasto, dwudziestoletnich dziewcząt. Ci, którzy decydują, rozumują poprawnie. Taka załoga gwarantuje wdzięczność. I pracowitość. I pokorę. Szybko zmieniają się więc nazwiska przodowników. Uśmiechnięte dziewczyny patrzą wprost w obiektywy kamer. Tańczą dla miasta w niedzielne popołudnia, krokiem dziarskim wystukują w świątecznych pochodach: *„Zbudujemy nową Polskę, zbudujemy nowy ład..."* Młodzieżowa gazeta patetycznym, żarliwym słowem kontastuje: *„Młoda załoga kombinatu nie czeka na socjalizm, ona go codziennie wśród piętrzących się trudności życiowych i produkcyjnych buduje własnymi rękami"*. Jest to już jednak okres, kiedy zaczyna sobie jednocześnie uświadamiać, iż ktoś ją w tej robocie wyraźnie kantuje.

Październik 1955 rok. To, co zaczyna dziać się w zakładzie pachnie buntem. Młody przewodniczący ZMP, Jan Chrobok z odwagą, nie tanią jeszcze, pierwszy odsłania zafasadową prawdę. Publicznie i dla całego kraju: „Przyjeżdżali do nas ministrowie, tow. Jóźwiak, tow. Stawiński. W tych dniach hala produkcyjna i cały kombinat przybierał odświętny wygląd. Wszystko na hali zostało pięknie ułożone, wymiecione, wyczyszczone, obiad luksus — na pokaz. My, towarzysze, nie chcemy żadnych świąt. Towarzysze ministrowie przyjeżdżają do nas raz na kilka lat". Na co dzień zostaje ciężki, lepki pył z powodu braku klimatyzacji i wadliwej wentylacji, nierealne plany produkcyjne, dziesięcioosobowe szare, pokoszarowe sale bez krzeseł i stolików, morderacze dźwiganie kilkunastokilogramowych szpul niedoprzędu na odległość ponad stu metrów, świetlica z zabitymi drzwiami. O tym mówi Irena Pawelczyk, Irena Kondej, zakładowa jednodniówka. O Zambrowie zaczyna być głośno. Nikomu jeszcze nie przechodzi nawet przez myśl, iż tu, w prowincjonalnym zapomnieniu, zaczyna tlić się Październik.

W Ministerstwie Przemysłu Lekkiego tymczasem zdenerwowanie. Przedstawiciel Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego — Północ, Stefański, odpowiedzialny za rozruch kombinatu, wyraża się jasno: „Takich nygusów, jak ten Chrobok, Kondej, co rozrabiają, to bym wyrzucił!". Krzepi go zgoła po marksowsku inny wielki menager, na swój poziom przenosząc prawdę, iż nic innego, jak byt podnosi świadomość: „Mają za dobrze".

Sprawa jest jednak zbyt głośna, zbyt poważna, by przestała istnieć po gabinetowych pogróżkach. W maju, już 1956 roku, odbywa się w Wydziale Przemysłu KC PZPR narada nad sytuacją w Zambrowie. Zapadają decyzje i zalecenia: *„Zrewidować i doprowadzić do właściwego stanu technicznego park maszynowy: zrewidować wadliwy system norm, zasilić kombinat fachowcami; skontrolować przedsiębiorstwa produkujące urządzenia wentylacyjno-klimatyzacyjne..."* Wcześniej jeszcze, w marcu, Prezes Rady Ministrów wydaje specjalne zarządzenie sygnowane numerem 56 o rozwoju miasta. Napięcie opada.

I wtedy wybucha Czerwiec. W kombinacie, jak w całym kraju, wiecową falą z wykutym w górze hasłem, wetkniętym w dłoń transparentem. Potępieniem „wrogich, prowokatorskich elementów". Także — spojrzeniem w siebie, wyciszeniem, które tylko na krótko roznieca Październik. Jakby płacić przyszło za wcześniejszą niecierpliwość. Wyciszenie w Zambrowie trwać będzie blisko piętnaście lat.

W tym czasie czarnowłosa Irena Kondej zostanie panią Drozd. Zrezygnuje z działalności w ZMS, gdyż nie można jej pogodzić z kościelnym ślubem. W trzy lata później, w 1962 roku, opuści kombinat, zajmie się wychowywaniem dzieci. Dla siebie już tylko skończy w 1975 roku liceum dla pracujących. Dla własnej i rodzinnej satysfakcji przyniesie świadectwo maturalne ze średnią ocen powyżej czterech.

Jan Chrobok przetrzyma w zakładzie swego wielkiego zwierzchnika z Centralnego Zarządu. Zostanie mistrzem na przędzarkach, potem zakładowym rewidentem. Wyjedzie z Zambrowa a ci, którzy będą go wspominać po latach powiedzą o nim po prostu — Jasiu. W rok Sierpnia kadrowa zakładów bawełnianych w Andrychowie wepnie mu do akt osobowych dyplom studiów wyższych.

Z Zambrowa wyprowadzi się wojsko.

Rynek, przy którym stały niegdyś cztery porządne domy, otoczy kwadratura muru.

Zniknie słynna zambrowska „beczka", jedyny przez wiele lat akcent istnienia „kultury".

Zakład rozbuduje się o nowy wydział, tkalnię.

Hoffmanowa-Muszyńska napisze nową książkę o „bawełnianych" dziewczynach, teraz córkach i wnuczkach pokolenia „Czupiradełka".

Spokojnie przez całe lata jest w Zambrowie. Aż przychodzi czas, kiedy miasto okazuje nieufność.

☆

Grudzień 1970 roku błyska tak szybko, że Gdańsk, Szczecin, Gdynia z perspektywy Zambrowa zdają się być na krańcu świata: nim do miasta dotrą echa karabinowych salw, rozlegną się oklaski.

Przednoworoczne „pomożemy" zagłusza i tak skąpo docierające informacje, odpycha wzburzenie.

Wieść o styczniowym strajku w stoczni im. Warskiego w Szczecinie nie wychodzi oficjalnie poza jej bramy.

Niepokój, jaki w tym czasie ogarnia cały przemysł włókienniczy nie może mącić entuzjazmu.

A jednak 10 marca 1971 roku w Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego staje na kilka godzin wydział tkalni.

Pełne zaskoczenie w kierownictwie.

— Zamęt? Gdzie? W takiej dziurze? — pytaniem na to pytanie o sytuacji w zakładzie odpowiada tego samego dnia przed południem Irena Dmochowska z Rady Zakładowej zwierzchnikom z Białegostoku. Wraca wieczorem do Zambrowa i słyszy — był strajk!

Po akcji odbywa się w zakładowym domu kultury spotkanie z dyrekcją. Płace, wyróżnienia, nagrody, premie — rysuje się motyw protestu. Zbierają się członkowie partii. Wobec wysuniętego przez nich postulatu I sekretarz KM, Kowalczyk, osobiście przyrzeka, iż nie będą wyciągane żadne konsekwencje. Wobec nikogo.

I w kilka dni później: natychmiastowe, dyscyplinarne, zwolnienie otrzymują tkaczki Zdzisława Czyszpok i Wiaksa oraz mistrz na oddziale tkalni, Stankiewicz. Nikt nie wnika w rzeczywiste zaangażowanie w wydarzenie. Winni muszą się znaleźć — i — są. Winą Stankiewicza jest zaś to, że skoro stały krosna, wyłączył napędzające je silniki.

Nikt nie ma jednak odwagi stanąć w obronie wyrzuconych: Czyszpok kilka miesięcy pozostanie bezrobotna. Potem, na krótki okres, zaczepi się w gastronomii, parę lat prowadzić będzie kiosk „Ruchu". Wróci do zakładu w styczniu 1981 roku, po blisko dziesięciu latach przerwy.

Stankiewicz podejmie po kilku tygodniach pracę w „Fastach", następnie przeniesie się do Łodzi. Nie angażuje się już, nawet po Sierpniu, w żadną sprawę. Do Zambrowa, choć praca czeka tu również na niego, nie wróci.

Na wydziale wstępnej obróbki pojawią się nowoczesne, erefenowskie maszyny; 170 zgrzeblarek zastępuje 426 przestarzałych i mocno nadwyrężonych czasem.

Nowe „bawełniane" dziewczyny otrzymają schludny, dobrze wyposażony i zadbany pawilon hotelowy.

Daczowa koniunktura zagęści przedmieścia szarością murowańców.

Na miasto i zakład spadnie cząstka przyspieszenia początku lat siedemdziesiątych. I wtedy, nieoczekiwanie, nastanie czas strachu.

☆

Czerwiec w Radomiu i Ursusie zbiega się niemal z chwilą, kiedy w kombinacie postanowiono sięgnąć po rezerwy. Widzi się je w ludziach. Pomysł nie wymaga nakła-

dów, zmiany technologii, reorganizacji. Jest genialnie prosty — tkaczka zamiast dwunastu obsługiwać będzie piętnaście krosien. W skali miesiąca da to wzrost produkcji o...; w skali kwartału...; w skali roku... Nie, prognoz rocznych oficjalnie się nie stawia: zwiększoną obsługę krosien wprowadza się tylko na okres letni. Tkaczki liczą zupełnie inaczej i wychodzi im, że wzrost zarobków jest nieproporcjonalnie mały do wysiłku. Pomysłowi zaczyna zagrażać fiasko. Wówczas pojawiają się przekonywające argumenty: kilkanaście aktywistek po rozmowie z sekretarzem KZ udawadnia koleżankom, że można pracować na kilku krosnach więcej; kierownictwo nie kryje, iż wszelką niesubordynację traktować się będzie jako akcje strajkowe; „cały kraj" potępia „chuliganów z Radomia i Ursusa". Produkcja jest uratowana, ale w ludzi wchodzi rezygnacja. Na pełne pięć lat. Raz tylko, na chwilę odrzuci ją jeden człowiek: na posiedzeniu KSR w 1978 roku sekretarz OOP Władysław Ręczelewski powie, co myśli naprawdę. Będzie potem chodził na wyjaśniająco-wychowawcze rozmowy. Ale oto zbliża się czas inny. Czas nadziei.

☆

Strajk w Gdańsku trwa już prawie dwa tygodnie. Na zebraniach przedstawicieli załóg odczytuje się tymczasem list KC o dojściu do głosu „elementów antysocjalistycznych". W Zambrowie jeszcze pozorny spokój.

10 września grupa tkaczy z nocnej zmiany postanawia zatrzymać maszyny. Informuje o swej decyzji mistrza Ręczelewskiego. Po kilkudziesięciominutowej twardej rozmowie koncepcja natychmiastowego strajku upada. Trzeba spróbować się dogadać. W dzień później do dyrekcji udaje się delegacja z ogólnozakładową listą postulatów. Wspólne rozpatrywanie punktu po punkcie trwa jedenaście godzin.

Pod koniec października powstaje ognisko założycielskie „Solidarności". Teraz dopiero, jakby z opóźnieniem, opada poczerwcowa zaszłość. Spokojnie, bez fajerwerków: poza solidarnościowymi, ogólnopolskimi akcjami ostrzegawczymi nie dochodzi w zakładzie do strajków, nikt nikogo nie wywozi na taczkach.

W pokoju sekretarza Zdzisława Rzepkowskiego przygnębienie. Od sierpnia do marca zebrania odbywają się przy pięćdziesięcio, sześćdziesięcio procentowej frekwencji. W jednej z organizacji na 36 członków i kandydatów 20 złożyło legitymacje. Przyznaje, że sprawę przejścia w 1976 roku na zwiększoną obsługę krosien przypisywał sobie jako pewnego rodzaju osobisty sukces. Nie była to decyzja popularna, ale zakład w okresie letnim zawsze najbardziej odczuwa niedobór rąk do pracy. Uważa zresztą nadal, że dla zakładu najważniejsza jest zawsze produkcja. I to nie tylko ilość, ale przede wszystkim jakość.

W pomieszczeniu „Solidarności" obok nowych spraw pojawiają się pogłosy wystąpień Jana Chroboka, Ireny Kondej, Ireny Pawelczyk. Trzeba poprawić warunki pracy, którą w większości nadal wykonują kobiety. Hałas i zapylenie ciągle jeszcze przekraczają „ludzkie" normy. Należy stworzyć oddział pracy chronionej, gdyż tkaczką można być do czasu. Z problemów wymagających ogólnego uregulowania najpilniejsze jest usamodzielnienie zakładu.

Elżbieta Jasik, przewodnicząca ZSMP, podnosi sprawę mieszkań dla młodych pracowników. Od dwóch lat wlecze się budowa patronackiego bloku i nie widać półmetka.

Coraz wyraźniej tworzy się w zakładzie nowy, posierpniowy układ, w którym przez wiele miesięcy brakuje wzajemnej ufności. I otwartości. Zdarzają się epizody drażniące to jedną, to drugą stronę. Niekiedy błahe: sekretarz odbiera pożyczony z KZ przez „Solidarność" mikrofon, choć nie jest mu w tej właśnie chwili potrzebny; „Solidarność" ignoruje propozycję powołania wspólnej z KZ, związkiem branżowym i organizacją młodzieżową komisji w celu ustalenia dalszej współpracy; administracja ni stąd ni zowąd zbiera wśród załogi „własne" postulaty. Mija powoli jednak czas przesilenia:

Majowe wybory wyłonią nowego sekretarza KZ, nową egzekutywę. Wejdą w jej skład członkowie „Solidarności"; we władzach związku znajdą się członkowie partii. Na pierwszym posiedzeniu egzekutywy zarysuje się podstawa działania — od koncepcji uporządkowania gospodarki zakładu po formy funkcjonowania partii.

„Solidarność" zabierze się za naprawę przeciekającego na najstarszej hali dachu. Wspólnie z kierownictwem.

Tkaczki wrócą do obsługi dwunastu krosien.

W mieście wyniknie problem przekazania gmachu KM PZPR na potrzeby ubogiej służby zdrowia.

Wraz z zakazem sprzedaży alkoholu w wolne soboty, zaświeci pustkami restauracja „Mazur".

Przed kioskami, w długich kolejkach, staną ludzie, by kupić paczkę „Popularnych"...

Czas nadziei niepostrzeżenie przejdzie znów w czas oczekiwania.

Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Przed chwilą przeczytałam artykuł „Powtórka z odnowy pryszczatych", w którym red. Adam Jerzy Socha pisze, iż „Kolno trwa jeszcze dzisiaj w epoce VII Zjazdu PZPR". Zachęcam więc do spaceru ulicą Sikorskiego w Łomży, gdzie obok Rejonu Dróg Publicznych przekonać się można, czytając takie oto hasło: „Rzetelną i wydajną pracą realizujemy uchwały VI Zjazdu PZPR", że Łomża tkwi jeszcze głębiej. Bo czyżby do tej pory nikt tego napisu nie zauważył?

Serdecznie pozdrawiam i życzę jeszcze bardziej udanych numerów.

Stała czytelniczka z Łomży
(nazwisko znane redakcji)

✱

Serdeczne pozdrowienia z obozu sportowego przesyłają Tarnacki i Zdzienicki oraz tenisiści i tenisistki, uczestnicy obozu tenisa stołowego w Danówku.

(20 podpisów)

Od red.: Dziękujemy. Życzymy — jeśli tego właśnie życzy się ping-pongistom — połamania rakietek!

✱

Kierujemy do Prezydenta miasta Łomży, pana Jerzego Newelskiego stanowczy protest wobec wykucia w czołowej ścianie zabytkowego łomżyńskiego ratusza olbrzymiego otworu i wmurowania w to miejsce konstrukcji metalowych, które niekorzystnie zmnieniają wygląd zabytku. Prowadzenie wymienionych robót na zabytkowym obiekcie bez uzgodnienia z konserwatorem zabytków jest naruszeniem przepisów.

Wyrażamy również wobec takiego postępowania zdziwienie, ponieważ z ramienia sprawowanego urzędu, Prezydent miasta zobowiązany jest chronić zabytki, a tym bardziej, gdy takowy jest obiektem administracyjnym i bezpośrednio mu podlega.

Z tytułu wykonywanej społecznie funkcji opieki nad zabytkami, kategorycznie żądamy usunięcia wmontowanych w ścianę ratusza metalowych konstrukcji, zamurowania kamieniami i cegłą wybranego otworu oraz doprowadzenie obiektu do pierwotnego stanu.

WIKTOR GROCHOWSKI
Przewodniczący Komisji Opieki nad Zabytkami przy Oddziale PTTK w Łomży

✱

W związku z artk. zamieszczonym w Kontaktach co mnie poniosło do ostatecności że ekspedientka sprzedaje zepsuty towar, który klient odnosi po dwóch dniach, zepsuty i to się podaje do wiadomości publicznej, że ekspedientka sprzedaje zepsuty towar i ochłapy mięsa wciskając staruszkom, i że następnym razem postaramy się zwrócić na przyszły miesiąc nieuczciwym ekspedientkom. Czy wogóle redakcja wie o co chodzi pisząc te artykuły, że klientka potrafi mi powiedzieć pani sprzedaje za dowodami bo dla mnie nie starczy. My już tak mamy dosyć tych kartek tego liczenia, ślepienia w nie, ale są jednostki, które nie rozumieją tego, uważają że ekspedientka to komputer który powinien biegiem zliczyć dać szybko, niestety to jest praca z pieniędzmy i z ważeniem my tego pognać nie możemy (A taki klient czy inny potrafi powiedzieć że się rusza jak mucha w smole czy tam coś innego niestety trzeba słuchać) Jak było ciężko tak jest gorzej my rozumiemy wszystko że człowiek musi znieść wszystko i być kulturalnym kiedy w tym wrzasku i chałasie nie można dojść do porozumienia.

Nikt nie zgłaszał się z tymi ochłapami dotychczas do nas tylko akurat do redakcji. Dlaczego mam być co kilka tygodni podawana do wiadomości publicznej, że w redakcji wszystko można pisać to my wiemy, ale trzeba przyjść i sprawdzić czy zaistniało takie coś czy nie a nie aby podać.

A za skierowanie do innego sklepu pani z inicjałami M.Z. dziękuję z góry jeżeli nie posiada kultury, w tym sklepie to w drugim jej nie znajdzie również. A w ręce nie muszą jej redaktorzy całować. Bo jest i tak komu.

ZOFIA MROZIK
sprzedawca ze sklepu nr 1

Od red.: Listy dotyczy „spięcia" z numeru 16/43 naszego pisma. Pozostawiamy go bez skrótów i korekty, a tym bardziej bez komentarza.

STARCIA — klub dyskusyjny „Kontaktów"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

PIOTR KUNCEWICZ: — Proszę Państwa! Dzisiaj, prawie rok po Sierpniu znaleźliśmy się w sytuacji, w której mamy właściwie same niewiadome. I może dlatego dobrze byłoby od razu uświadomić sobie, że Polska nie jest jedynym, wyjątkowym krajem na świecie. Wielu z nas, przy okazji tego, co się dzieje teraz, sięgało do historii wielkich rewolucji i przyglądało się pewnym analogiom. I cóż widzimy? Otóż, czy będzie to rewolucja francuska, czy crommwellowska w Anglii, zawsze groziła jej interwencja, działa się pod takimi lub innymi naciskami z zewnątrz; zawsze też była to próba nieomal ostateczna.

Co stąd wynika? To mianowicie, że w tej chwili — choć historia jest zawsze przydatna — skupić się powinniśmy chyba nad tym, co należy zrobić, co da się przewidzieć, w jakiś sposób zaprogramować. Analogie bowiem znajdują się zawsze. Jesteśmy jednak tak daleko w stosunku do tego, co miało miejsce wcześniej, że żadne przykłady, doświadczenia nie mogą nas już poprowadzić za rękę. O wydarzeniach, umownie przez nas objętych mianem polskich zakrętów, możemy jedynie powiedzieć, że nie poszły na marne.

JADWIGA STANISKIS: — Ja jednak, zanim przejdziemy do jakiegokolwiek prognozowania, chciałbym na chwilę do nich wrócić. Szczególnie do roku 1956. Jest to bowiem kryzys najbardziej znamienny i jednocześnie najbardziej zmitologizowany w świadomości potocznej. To przecież wówczas po raz pierwszy wykorzystano mechanizm „kozła ofiarnego", który odtąd powtarzać się będzie przy każdym kolejnym przełomie. Możliwe to było dzięki niejawności życia wewnątrzpartyjnego, szczególnie niemożności ujawnienia tego, co stało się na VII Plenum. Sztuczne spolaryzowanie Biura Politycznego dodatkowo ułatwiło wysunięcie pewnej grupy na pożarcie. Przykładowo: w 1956 roku Kłosiewicz, oskarżony później o zamordyzm, w rzeczywistości pierwszy postawił wniosek o uwolnienie Gomułki i wcale nie był tym, którego w pierwszym rzędzie należało rozliczyć. Drugim symptomatycznym elementem październikowym było wystąpienie, obok działań w pełni spontanicznych, także zjawiska manipulowania opinią publiczną. Chodziło na przykład o to, by zmniejszyć swoistego kaca towarzyszącego procesowi zmian programowanemu od góry i noszącemu w dużym stopniu znamiona rytuału politycznego. Zakończeniem owego rytuału było potęgowanie informacji o chaosie, braku organizacji, anarchii ze wskazaniem, iż jedynie państwo może być organem przywracającym porządek. Zasygnalizowane wyżej mechanizmy używania opinii publicznej i sytuacji kryzysowych jako momentów umożliwiających zmiany, stały się po Październiku trwałym składnikiem naszej rzeczywistości. I tu już można pokusić się o tezę, że kryzysy w Polsce, zarówno ekonomiczne jak i polityczne, są bardzo ważnym elementem regulacji samego systemu.

REWOLUCJE MŁODOŚCI

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI: — Patrząc na Sierpień i to wszystko, co go poprzedziło jawi mi się on przede wszystkim jako rewolucja młodości. Charakterystyczne jest, iż poszczególne, następujące po sobie generacje są teraz coraz mądrzejsze, znacznie bardziej pewne siebie, że czują prawo do stawiania wymagań i potrafią je postawić. Kiedy wybuchła Polska Ludowa, kiedy stworzono polski rząd, chodziłem do szkoły średniej. Rok 1956 zastał mnie w Olsztynie. Nie byliśmy bierni. I właśnie przełom roku siedemdziesiątego był tym przełomem, w którym moje pokolenie powinno realizować ten Październik, o który mu czternaście lat wcześniej chodziło. Niestety, realizowało albo zupełnie coś innego, albo jego strzępy. Niemniej czuję się uprawniony, choćby z racji osobistych doświadczeń, do postawienia tezy, iż w gruncie rzeczy to, co wydarzyło się w 1980 roku jest zwieńczeniem wysiłków trzech wcześniejszych generacji. Wyróżnikiem generacji Sierpnia jest natomiast fakt, iż jest ona w pełni dojrzała, znająca zarówno cenę kroku, na jaki przyszło się decydować, jak również niezwykle konsekwentnie realizująca swój społeczny ideał.

Kategorie generacyjne, w jakich ujmuję sprawę są dla mnie jednocześnie kategoriami klasowymi. Zmieniająca się bowiem struktura społeczna prowadziła do tego, że młodość równała się właściwie klasie robotniczej i młodej inteligencji. Tej inteligencji, która jeszcze w latach sześćdziesiątych nie była przygotowana, by w pełni podjąć rzeczywistą zmianę swojej roli w strukturze społecznej, w której klasa robotnicza jest zasadniczą siłą społeczną i pewną normą twórczą zarazem. Obecnie stało się inaczej. „Solidarność" jest mocna właśnie poprzez wielki ruch robotniczy i jednocześnie poparcie młodej inteligencji. Sięganie po aspekt generacyjny wydaje mi się więc o tyle uzasadnione, że daje nam klucz do stwierdzeń — kiedy możliwe były manipulacje, dlaczego się nie udawały. Tkwi w tym zarazem umiarkowany optymizm. Jestem bowiem przekonany, iż jeżeli nie przeszkodzi nam nikt z zewnątrz, będziemy w stanie dojść do faktycznej, głębokiej demokracji socjalistycznej w naszym kraju.

PIOTR KUNCEWICZ: — Niepokoi mnie, że podczas wielkich dyskusji każdy niemal uważa za rzecz szczególnie stosowną i wręcz konieczną przedstawić jakieś fragmenty własnego życiorysu. W rozmowie z kimkolwiek należy wyciągnąć najpierw wizytówkę: jestem tym i tym, przeżyłem to i to: ergo — mam prawo mówić o tym i o tym. Rozumiem, iż jest ogólna społeczna nieufność wobec wszelkich źródeł, ale chyba nie o to chodzi, abyśmy w nieskończoność mówili o tym, co było. Wracając do sedna sądzę, że przy całkowitym optymizmie towarzyszyć nam musi świadomość dwóch zasadniczych niebezpieczeństw najbardziej na dzień dzisiejszy aktualnych. Pierwsze — odnowa się nie dokona, gdyż przeciwne jej grupy, ciągle jeszcze mocne, potrafią pogrążyć kraj w bezprzykładnym chaosie, a ludzi w otępiającym zmęczeniu. Drugie — sama „Solidarność" ukształtować się może na wzór i podobieństwo jedynego wzorca społecznego, jakim praktycznie rzecz biorąc była dotąd partia.

JADWIGA STANISZKIS: — Jeżeli chodzi o „Solidarność" pojawia się obecnie, moim zdaniem, niebezpieczeństwo zupełnie inne. Otóż formułą związku stało się patrzenie władzy na ręce i reagowanie na wszelkie jej niewłaściwe decyzje. Od pewnego jednak czasu obserwujemy prawie zupełny paraliż władzy, który tym samym pośrednio poraża „Solidarność". Druga sprawa nosi już znamiona wciągania związku w istniejący strukturalny schemat: „Solidarność" uczestnicząc we wszelkiego rodzaju rozmowach z władzami, niekiedy konstruktywnych, często jednak będących działaniami pozornymi staje się — po zaniechaniu realizacji ustaleń — po prostu alibi dla obecnej struktury. Trzecie niebezpieczeństwo, to formuła solidaryzmu, utrudniająca artykułowanie różnic wewnątrz ruchu. Formuła ta jest bardzo ważna w sytuacji protestu, ale niebezpieczna, gdyż utrudnia np. sformułowanie realnego programu wychodzenia z kryzysu. Dlatego zawczasu należy dostrzec, iż nie ma znaku równości między solidarnością a solidaryzmem, gdyż w tym właśnie momencie odzywa się w Związku jakby prehistoria partii — niechęć do ujawniania konfliktów w ruchu. Dalej idąc: instrumentalny stosunek do prawa, moralizowanie, które jest bardzo piękną cechą ruchu, ale równocześnie powoduje, że politykę widzi się w kategoriach czarno-białych. Są to dużo — moim zdaniem — większe niebezpieczeństwa niż te, które ujawniły się wcześniej i były tak energicznie zwalczane w pierwszej fazie rozwoju ruchu: chociażby brak demokracji wewnątrzzwiązkowej w kilku konkretnych przypadkach.

CO DALEJ?

JÓZEF OLEKSY: — Udało się nam odciążyć naszą dyskusję z historycznego bagażu, mówimy o dniu dzisiejszym, a nawet mamy ciągoty, by pokusić się o projektowanie przyszłości. I bardzo dobrze. Czy jednak jest to w pełni możliwe bez szczegółowej, pogłębionej analizy przyczyn dotychczasowych kryzysów, a szczególnie kryzysu ostatniego? Tym bardziej, że kryzys obecny nie ma charakteru tylko gospodarczego, społecznego, czy politycznego, ale nosi wszelkie znamiona kryzysu historycznego. Idzie przecież już nie o nic innego, jak o zmianę całości funkcjonowania stosunków społecznych i sposobów sprawowania władzy przy zachowaniu tych struktur, które ukształtowały się ustrojowo.

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI: — Mówiąc o polskich zakrętach, polskich etapach, szukając przyczyn ich fiaska nie wiem dlaczego zaczynamy od roku 1956. Dlaczego pomijamy, jakby go nie było, etap pierwszy, trzyletni, który nazwać można etapem polskiej drogi do socjalizmu? A przecież główną przyczyną kolejnych naszych zakrętów, katastrof trzech kolejnych etapów od 1947 roku poczynając jest to, że z drogi tej zrezygnowano! Był w pierwszym etapie pluralizm, były autentyczne związki zawodowe, był ruch spółdzielczy, były prężne organizacje młodzieżowe! Czyż więc to, co obserwujemy po Sierpniu, jest szukaniem tamtej drogi, do której musimy wrócić?!

JADWIGA STANISZKIS: — Nigdzie nie mamy zamiaru wracać! Przepraszam, ale w tym momencie nie mogę Panu nie przerwać. Jestem również za polską drogą do socjalizmu, ale jednocześnie wiem, jak wyglądało tworzenie prawa w latach 1944—47, wiem jak przebiegała fala strajków w latach 1945—47—48. Wiem, jak odbywały się wówczas wybory! To tylko część faktów. I do takiej drogi wracać nie chcemy!

PIOTR KUNCEWICZ: — Zgodziłbym się z Panem Premierem o tyle, o ile traktuje się tamten czas, jako okres pluralizmu. Ale pamiętamy też tamte lata, jako epokę krwawych pacyfikacji, prześladowań, wojny domowej prowadzonej nie zawsze polskimi siłami, przepełnionych więzień. Nie jest to więc chyba okres, do którego moglibyśmy tęsknić. Zgadzam się natomiast, że należy wracać do każdego dobrego i udanego momentu z historii, chociażby wszystko inne było złe.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK: — Świadomość nasza jest wciąż jeszcze świadomością rozliczeniową: powiedzieć prawdę, powiedzieć jak to było, kto kłamał i w jaki sposób. Oczywiście jest to niezbędny instrument oczyszczenia społecznego. Jest jednak jeszcze pytanie — co dalej? I na to pytanie, co jest ka-

tastrofalne, nikt nie jest w stanie dziś odpowiedzieć. W świetle bowiem wiedzy, jaką ludzkość dysponowała od czerwca ubiegłego roku, to, co stało się w Polsce zaskoczyło wszystkich. Wydaje mi się zatem, że trzeba by się wysilić i poszukać nie tylko przyczyn kryzysów, ale również źródła niewiedzy o zjawiskach podobnych jak Sierpień. Zafrapowani odkrywaniem prawdy o świństwach naszych bliźniach przeoczyliśmy ten niezwykle istotny moment: wiemy wiele o władzy, ale nic nie możemy powiedzieć o samym społeczeństwie, kulturze politycznej. Chcąc natomiast odpowiedzieć na nurtujące nas tutaj pytania bez pewnego zasobu wiedzy na ten temat obejść się nie możemy.

MIECZYSŁAW ROZBICKI: — Dlaczego ja tu przyszedłem i przyprowadziłem ze sobą córkę, tegoroczną maturzystkę? Otóż chcieliśmy się dowiedzieć czegoś więcej o polskich zakrętach. Chcieliśmy również poznać historyczną postać pierwszego premiera.

DIONIZY MALISZEWSKI: — Szukamy źródeł kryzysu i sposobów wyjścia z niego poprzez pryzmat ekonomii, socjologii... Mnie się wydaje, że głównym powodem kryzysu, jak i główną przeszkodą wyjścia z niego jest zanik pewnych wartości w kulturze, moralności.

To, co sytem Gierka proponował społeczeństwu przypomina mi to, co pół wieku temu pewien pan proponował swemu narodowi. Dopóki nie przejdziemy w najbliższych latach od spraw polityki, gospodarki do spraw kultury, będziemy hodować pseudonaukowców, ślepych polityków, dbających tylko o własny interes.

PIOTR KUNCEWICZ: — Byłoby bardzo dobrze, gdyby Dionizy Maliszewski miał rację. Podejrzewam, że człowiek jest o tyle moralny, na ile mu okoliczności pozwalają. Społeczeństwo nasze jako całość bywa bohaterem na chwilę. Nie wydaje mi się, aby można było wymagać od społeczeństwa bohaterstwa praktykowanego na co dzień i w każdej chwili.

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI: — Przyjechałem tutaj, aby się dowiedzieć od pana premiera, jak wyglądała technika ograniczania demokracji w latach 1944—48. Technika sprowadzająca się do likwidacji partii politycznych, do ograniczania funkcji ruchu związkowego, do likwidowania handlu, rzemiosła, drobnej wytwórczości. Interesuje mnie też, jak wyglądało w tych latach znoszenie prawa.

Pytanie do doc. Gołębiowskiego: Wynika mi się, że u podstaw narodzin wielu spontanicznych, autentycznych i autonomicznych struktur w Sierpniu i po, leżało właśnie to, że ogromne masy ludności wyrwane z ich naturalnych więzi lokalnych musiały budować nowe formy współżycia społecznego. Jaki wpływ na powstanie tych nowych więzi społecznych miała migracja ze wsi do miasta?

Dlaczego tak mało wiemy o historii polskiego ruchu robotniczego, o własnościach klas społecznych i ich aspiracjach, dlaczego polski marksizm został wykreślony z praktyki politycznej? Dlaczego przywołuje się chybione konstrukcje teoretyczne klasyków np. o klasie chłopskiej, które zostały użyte dla doraźnych korzyści politycznych, w zdecydowanie odmiennej sytuacji historycznej? Dlaczego w okresie, gdy wołamy o demokrację i decentralizację, obserwujemy wyraźnie zdecydowane centralizowanie np. życia kulturalnego. Zagrożone są nakłady i objętość prasy terenowej. Podnosi się wrzask przeciwko terenowym uczelniom, teatrom, filharmoniom... Jest to więc dążenie do ponownego skupienia całego życia kulturalnego w centrum kraju, bo ułatwia to jego manipulowanie.

GOSPODARKA W DURSZLAKU

E. OSÓBKA-MORAWSKI: — Najcięższy okres, o którym najmniej tutaj wspominaliśmy, to okres ośmiu lat tzw. beriowszczyzny. Gdyby robił to Paskiewicz, Hurko, czy Berg byłoby to dla nas bardziej zrozumiałe. Tymczasem prześladowania Polaków firmowali Polacy. Do dziś nie napisaliśmy historii tego okresu. Po tym okresie mieliśmy czternastoletni etap „fałszywego października". Po 1956 roku do aparatu przyszedł Gomułka z kilkoma nowymi ludźmi, ale stary aparat beriowszczyzny funkcjonował nadal.

Mowa była o zaniku kultury, moralności. Był czas, gdy kulturę robotniczą stworzył sobie sam ruch robotniczy. Inicjatorem był Ignacy Daszyński. Powstawały uniwersytety robotnicze. Instytucja TUR-ów w socjaliźmie nie mogła funkcjonować, zniszczono ją.

Było pytanie o gospodarkę. Naszą gospodarkę można porównać do durszlaka, z którego produkcja wycieka setkami dziur. Nie sposób sporządzić bilansu naszej gospodarki nie wiedząc, jaka jest wielkość naszej partycypacji w robieniu rewolucji w Trzecim Świecie.

Sprawa łamania praworządności, kiedy to się zaczęło: do wyborów było w Polsce siedem partii, z tego dwie rządzące. Wówczas jeszcze Sądzę, że te polskie zakręty, to taki drut półstalowy. Zgięto go w 1948 roku, a później machało się nim raz na lewo, raz na prawo. W tej chwili jest blisko pionu, ale to dlatego, że „Solidarność" powiedziała „stop". Czy nauka polska nie była w stanie opracować teorii przejścia od kapitalizmu do socjalizmu?

JÓZEF OLEKSY: — Przy opracowywaniu dróg przejścia od kapitalizmu do socjalizmu istnieje skłonność do szybkiego ogłaszania, że już zbudowaliśmy socjalizm. W latach 60-tych kierownictwa krajów socjalistycznych zmieniały nazwy swoich państw z „ludowych" na „socjalistyczne". Zaczęto wówczas też mówić o teorii rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, gdy osiągnięto zaledwie wstępny etap budowy tego społeczeństwa. Działo się tak:

można było mówić o dyktaturze proletariatu, gdyż w obu tych partiach skupiona była klasa robotnicza. Po wyborach można już mówić tylko o dyktaturze nad proletariatem.

Kolejnym etapem niszczenia polskiej drogi do socjalizmu była bitwa o handel i likwidacja rzemiosła. Przewodził jej „poeta gospodarczy" Hilary Minc. Budował cegielnie-giganty w miejsach, gdzie akurat nie było gliny, a małe cegielnie wysadzał w powietrze. Bitwa o handel to była głównie bitwa z PPS-em, gdyż PPS opierała się na ruchu spółdzielczym. Dzisiejsza spółdzielczość, to kpiny. Z prawdziwej spółdzielczości zostały tylko szyldy. Gdy Minc uporał się z handlem wówczas zlikwidował CUP, ujął gospodarkę w swoje ręce i budował na wzór jedynego socjalizmu.

Nie zapomninajmy jednak, że w pierwszym okresie, do 1948 roku dokonały się dwie reformy, zagospodarowano ziemie zachodnie, zaprowadzono bezpłatną oświatę, przeprowadzono repatriację, odbudowywano Warszawę. To były sprawy ważne, nie możemy tego przeoczyć.

ZDZISŁAW SĘDZIAK: — Czuję niedosyt. Jak dotąd odnoszę wrażenie, że siedzę przed telewizorem, tylko takim trochę większym i na żywo. Dręczy mnie pytanie: dlaczego, kto i co z tego wyniknie? Znowu mówimy: działano, przeszkadzano, likwidowano, ale kto konkretnie? obowiązywała propaganda nauki o budowie socjalizmu, a nie nauka. Należy od tego odejść.

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI: — Mówimy: „zakręty polskie" to są symptomy jednego wielkiego zakrętu. Zakrętu przekształcania Polski chłopskiej, drobnomieszczańskiej w Polskę robotniczo-chłopską. Te zakręty najbardziej odczuła wieś. Moje pokolenie, startujące w latach czterdziestych, przechodziło wszystkie etapy wraz z wykorzenieniem ze starego środowiska i brakiem możliwości stworzenia autentycznych więzi w środowisku nowym. Inteligencja mojej formacji zawiodła te klasy, z których wyszła — chłopstwa, klasy robotniczej. Moje pokolenie nie umiało rządzić. Obecnie chce ono zablokować pokolenie „Solidarności". Bezwład obecnego aparatu władzy, to bezwład niemożności wyobrażenia sobie innego typu sprawowania władzy na oczach społeczeństwa — i razem z tym społeczeństwem.

PIOTR KUNCEWICZ: — Chciałem podziękować wszystkim uczestnikom panelu. Państwu za cierpliwość i za głosy. Oby ta dyskusja zafundowana przez „Kontakty" stała się maleńką cząstką mądrości, doświadczenia i siły każdego z nas. Oby.

Opracowali: W. T. i A. J. S.
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Niech ten list będzie przestrogą i ostrzeżeniem dla zakładów pracy, szkół i organizacji społecznych, które mają w planie zorganizowanie wycieczki turystycznej i korzystanie z usług PTTK Łomża i jej Oddziału w Zambrowie. A oto fakty: W dniach 1—5 czerwca br. uczniowie Zespołu Szkół Zawodowych w Zambrowie uczestniczyli w wycieczce na trasie Zambrów—Kraków—Zakopane—Oświęcim—Częstochowa. Wszelkie usługi turystyczne związane z organizacją wycieczki zostały zlecone Oddziałowi PTTK w Zambrowie 10.02.1981 roku. Zgodnie z harmonogramem wyjazd miał nastąpić z Zambrowa w dniu 1.06. br. o godz. 6.00. Odjechano dopiero o godz. 12.30, po wielokrotnych rozmowach telefonicznych z organizatorami.

Autokar PTTK Łomża marki „Jelcz" od początku wzbudzał podejrzenia co do wyglądu zewnętrznego jak i stanu technicznego. 4.06. o mało nie doszło do katastrofy. W momencie odjazdu z parkingu w Szczawnicy hamulce „odmówiły" posłuszeństwa i wypełniony młodzieżą wraz z opiekunami (52 osoby) wóz zaczął zjeżdżać w kierunku trzymetrowej przepaści. Na szczęście dla uczestników wycieczki autokar zawisł swoją środkową częścią podwozia na skarpie. W ten sposób, korzystając z tylnego wyjścia (przednie było zablokowane) udało się nam opuścić pojazd. W trakcie jazdy do Oświęcimia sprawność techniczna autokaru jeszcze pogorszyła się, co było wynikiem tego zdarzenia w Szczawnicy, jak i niedbalstwa kierowcy, który nie usunął zauważonych usterek. Na trasie silnik zaczął dymić i spaliny przedostawały się do środka poprzez 50 cm otwór w podłodze. W centrum Oświęcimia autokar na dobre stanął. Czekaliśmy z młodzieżą na ulicy na sprawny autokar około pięciu godzin. Po zorientowaniu się, że autokar w ciągu najbliższej godziny nie będzie sprawny (kierowca nie poinformował nas o orientacyjnym czasie naprawy) zmuszeni byliśmy szukać możliwości dowiezienia młodzieży na nocleg oddalony od miasta około 16 km. Ostatecznie autokar został naprawiony dzięki uprzejmości miejscowego zakładu pracy o godz. 5.00 następnego dnia, a my mieliśmy w tym dniu powrót do Zambrowa już ogólnie sprawnym autokarem, ale za to z niesprawnym kierowcą (zmęczenie pracą w nocy, przy naprawie). Poza tym cała podróż była jedną wielką męczarnią ze względu na małą szybkość autokaru, spowodowaną niewydolnością silnika.

Rozumiemy trudną sytuację w jakiej znajduje się ruch turystyczny, ale niczym nie można usprawiedliwić opóźnienia autokaru, czy jego wyjazd w stanie niesprawnym. Jest to po prostu przejaw karygodnego niedbalstwa i bezmyślności. Nie będzie też miał dobrej opinii Oddział PTTK w Zambrowie, którego urzędniczka w ciągu trzech miesięcy nie mogła skompletować wszystkich potrzebnych dokumentów związanych z wycieczką, wysyłając nas bez potwierdzenia na piśmie noclegów w Zakopanem, a w dniu naszego wyjazdu — mimo trudności z wyjazdem zamknęła spokojnie biuro PTTK zostawiając informację w drzwiach, że udaje się do lekarza. Uważamy, że oddziały PTTK, które nie dbają o swoich klientów przynoszą tylko straty (deficyt wymierny w złotówkach), a nie mają racji bytu i powinny być zlikwidowane, a etaty przeniesione do placówek, które na to zasługują. Na koniec chcielibyśmy zaapelować do PTTK w Łomży o bardziej rygorystyczne kryteria, jakimi powinni się kierować przy przyjmowaniu kierowców do obsługi ruchu turystycznego, ponieważ w naszym odczuciu kierowca, który nas obsługiwał nie spełnia nawet podstawowych norm dotyczących fachowości, kultury miejsca pracy.

Za uczestników wycieczki:
mgr STANISŁAW CHMIELEWSKI,
mgr KAZIMIERZ DĄBROWSKI
JANUSZ PRZYCHODZEŃ

GENIUS LOCI

jest (i będzie?) zwyczajnie

Już niedługo minie rok od czasu, gdy się wszystko w Polsce zakręciło, zakłębiło i runęło naprzód. Ale nie o tym chcę pisać, ani o szczególnej mechanice rozwoju — to na kiedy indziej. Natomiast warto by rozważyć, co właściwie wniósł ten rok w zakresie kultury. Od razu powiem, że dość niewiele, co może się w pierwszej chwili wydawać zaskakujące. Nie mówię naturalnie o publicystyce, która wykonała i wykonuje nadal zadanie gigantyczne, w wyniku czego, zresztą, zawód dziennikarza znalazł się nagle wśród najważniejszych. Ale poza tym jakoś cienko. Jeżeli sobie przypomnimy rok 1956—57, no, to zgoła żadnego porównania nie ma. Ale wtedy, przed październikiem, kultura była zgnębiona w sposób szczególny. Od tamtego czasu nie było już tak absurdalnych zakazów i nakazów, kontakt z literaturą światową był mniej więcej normalny, nikt nie prześladował (lub prawie) nowoczesnych koncepcji stylów, rozwiązań. Zakazane właściwie było to, co dotyczyło polityki lub gospodarki, natomiast resztą władze się po prostu nie zajmowały. I bardzo dobrze. Ale też zakres zmian i objawień nie mógł być bardzo wielki.

Odkryciem literackim stał się Miłosz — odkryciem względnym, bo kto chciał i wiedział, ten mógł jego twórczość poznać i przedtem. Poza tym właściwie nic już prawie. Twórczości innych pisarzy emigracyjnych nie znamy nadal, nie wolno też — Bóg raczy wiedzieć czemu — wymieniać ich nazwisk, choć tu nie ma ściśle przestrzeganej formuły. Szuflady rodzimych twórców okazały się puste, o czym zresztą i tak wiedziano. Czeka nas jeszcze „Miazga" Andrzejewskiego, utwory kilku poetów-kontestatorów, Konwicki. No i to wszystko. Ach, no i uruchomione wreszcie zapasy filmowo-telewizyjne, dość niewinne na ogół, jak się okazało.

Z rzeczy nowych cóż właściwie można wymienić? Na pierwszym miejscu „Człowieka z żelaza", na którego czekamy z niecierpliwością, „Kolędę-nockę" Brylla, no i co więcej? Twórczość z obrzeży gdańskiego sierpnia wydaną przez legendarny „Punkt" Wydawnictwa Morskiego, którego nawet ja, mimo osobistych kontaktów nie mogę zdobyć. Trochę wierszy w prasie z akcentami kontestatorskimi, umiarkowanymi jednak. I już chyba rzeczywiście wszystko. A więc mało, ogromnie mało.

Pewnie, że nie należy się spodziewać powieści pisanych na kolanie. Byłyby to bowiem dzieła kiepskie, gdyż epika wymaga dystansu i to na ogół sporego. O epoce napoleońskiej zaczęto pisać po kilkudziesięciu latach, a najlepsza chyba książka — „Popioły" wymagała stulecia. Nie mamy dotąd naprawdę wielkiego utworu o roku osiemnastym i dwudziestym. Ciekawe, że literacko obrodził najbardziej rok trzydziesty dziewiąty; żeby wymienić pierwsze lepsze tytuły — najlepszą książkę Żukrowskiego, „Polską jesień" J.J. Szczepańskiego, „Wrzesień" Putramenta, zresztą naprawdę wiele innych dobrych pozycji. Ale tragedia jest zawsze literacko „fotogeniczna".

To natomiast, co się u nas dokonuje jest w miarę spokojne (na szczęście, na wielkie szczęście), materiału przygodowego w tym niewiele. Ekonomia natomiast jest świetnym towarzyszem publicystyki, ale nie literatury. Co prawda, gromadzące się braki, zaciemnienie ogólne horyzontu, to już jest coś. Ale też jeszcze nie dosyć. Pewnie, prośmy Boga, by się nam taki literacki temat nie objawił... W sumie jednak nic dziwnego, że nie pojawiają się właściwie jakieś ciekawsze literackie programy, aktualności zaś można najłatwiej odnaleźć w kabaretach, w końcu od publicystyki niezbyt odległych. Wierszy politycznych jest mało; natomiast te, które są, świecą na ogół wysoką jakością.

Świadczy to jeszcze o czymś: społeczeństwo jest zdecydowane i nie trzeba go do zmian nakłaniać. Odpada więc cała działalność „propagandowo-mobilizująca", która mogłaby stanowić podłoże literatury specjalnego, wojującego typu. A co będzie dalej — tego nikt nie wie. Ale jeśli nie dojdzie do żadnej tragedii, to po prostu będzie zwyczajnie. Oby!

PIOTR KUNCEWICZ

Rysunek Grzegorza Dębowskiego

reflekSje

NA PIĘCIOLINII

radosne działanie

Był taki moment przed dwoma bodajże laty, gdy ówczesny premier — kierując się troską o związkowe finanse — zakazał zakładom pracy kupowania biletów na imprezy artystyczne. Do tej pory bowiem „Estrady", teatry, Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe i inne instytucje wciskały na siłę instancjom związkowym setki biletów, te dopłacały do nich znaczne sumy, następnie zaś rozdawały lub odsprzedawały z dużą zniżką swoim pracownikom. Oczywiście dotyczyło to najczęściej kiepskich spektakli i chałturniczych koncertów, gdyż na dobrą imprezę ludzie potrafili wyłożyć własne pieniądze. Zakaz premiera przestał funkcjonować i znowu kolporterzy z „Estrady" różnymi sposobami podchodzą dyrektorów i szefów poszczególnych związków zawodowych. Ale to działanie ma dwie strony: uczy wygodnictwa również organizatorów imprez, do których zaliczyć należy nie tylko „gangsterów" ze stolicy.

Przed kilkunastoma dniami naszła mnie ta refleksja, kiedy do Łomży na dwa koncerty przyjechał białostocki Młodzieżowy Klub Piosenki wraz z grupą jazzową „Antykwariat". MKP działający przy ZM ZMS, to grupa młodych, rozśpiewanych ludzi, pracujących ponad rok pod fachową opieką instruktorów. Programy składają się z polskich i zagranicznych piosenek opracowanych na kilka głosów, tak więc na scenie przez cały niemalże czas znajduje się kilkanaście osób. Występy w Białymstoku, Warszawie i innych miastach ugruntowały już pozycję tego amatorskiego ruchu, którego efekty często przewyższają najlepsze wzorce profesjonalne. Nic więc dziwnego, że i mieszkańcy Łomży chcieli poznać ów, pewnego rodzaju, fenomen.

Piosenkarzom akompaniował jazzowy „Antykwariat", bez wątpienia najciekawsza grupa w północno-wschodniej Polsce, dwukrotny laureat (II i III miejsce) krakowskiego, ogólnopolskiego festiwalu „Jazz Juniors". Tamże, również perskusista tego zespołu, Jerzy Nowicki uznany został najlepszym instrumentalistą całej imprezy. Ta siedmioosobowa grupa gra bardzo komunikatywny jazz nowoczesny, pełen swingu, z archaizującymi nieco partiami trzech saksofonów. Dla młodych miłośników jazzu w Łomży, niezbyt raczej rozpieszczanych przez miejscowych organizatorów imprez kulturalnych, była to zatem cenna okazja posłuchania naprawdę interesującej muzyki. To samo dotyczy członków licznych amatorskich zespołów wokalnych, dla których praca i efekty Młodzieżowego Klubu Piosenki powinny stać się godnym naśladowania wzorem. Tymczasem na pierwszym koncercie w WDK zjawiło się około 10, i to przypadkowych słuchaczy (z których zresztą połowa bardzo szybko wyszła), na drugim zaś niewiele ponad 20! Nie wierzę, by w niedzielne popołudnie nie znalazło się w Łomży 200—300 osób chcących posłuchać dobrego jazzu. Wszak właśnie ci niedoszli odbiorcy uskarżają się na marazm panujący w ich środowisku.

Organizacją koncertów białostockich wykonawców zajął się Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — w sposób niezwykle radosny. Gdzieś ponoć — jak mi mówiono — wisiał jeden plakat informujący o koncertach, bilety zaś po prostu upchnięto w zakładach pracy. Jednemu wlepiono 5, innemu 15 i kłopot z głowy. Można sobie wyobrazić, jak czuł się „Antykwariat", który dał ostatnio kilka występów w Olsztynie, w sali wypełnionej po brzegi; kiedy grać mu przyszło dla kilku osób, w dodatku wyraźnie zdegustowanych rodzajem prezentowanej muzyki. Nieuświadomiony, przypadkowy słuchacz rzeczywiście mógł czuć się zawiedziony widząc na estradzie — zamiast Urszuli Sipińskiej — młodych jazzmanów wydających jakieś przedziwne zgrzyty i popiskiwania. Pewne jest, że nieprędko „Antykwariat", czy inna grupa jazzowa, zdecyduje się na przyjazd do Łomży. I chyba słusznie, ale czy do nich należy mieć pretensje?

JAN JANUSZEK

MARKSIŚCI PRZED TRYBUNAŁEM

W procesie, który zakończył się 21 października 1931 roku, zeznawało 14 świadków — mieszkańców Zambrowa i miejscowości Poryte w gminie Długobórz. Jako dowody rzeczowe zostały zabezpieczone: ołówek i maszynka do ostrzenia, odezwa komunistyczna ujawniona na terenie koszar 71 pp piechoty w Zambrowie. Przed obliczem sprawiedliwości stanęli: Jan Wdziękoński ze wsi Poryte, Józef Tymiński z tej samej miejscowości oraz zambrowianin — Szmul Słowik. A oto wydarzenia jakie zaprowadziły ich na salę sądową.

W ostatnich miesiącach 1930 roku we wsi Poryte pojawiły się odezwy komunistyczne. To podrzucano je gospodarzom do obejść w taki sposób, aby łatwo mogli je zauważyć; to przyklejano na widocznym miejscu — by cała wieś mogła czytać. Przez jakiś czas ludzie mówili o tym tylko między sobą, aż 12 stycznia 1931 roku praktykant rolny z majątku Poryte zobaczył rano trzy odezwy przyklejone na chlewie. Przestraszył się i zawiadomił posterunek policji w Zambrowie. Oprócz praktykanta, który nazywał się Władysław Pindel, świadkami zajścia byli Antoni Wasilewski i Konstanty Faszcz — również pracownicy tego majątku.

Po przyjeździe do Porytego, funkcjonariusze wiedzieli więc do kogo się zwrócić, kogo przesłuchać jako świadka. Po dwóch dniach, 14 stycznia, przeprowadzili — po wstępnych przesłuchaniach — rewizję w mieszkaniu Jana Wdziękońskiego. Po zrzuceniu pościeli z łóżka policjanci znaleźli 29 odezw komunistycznych oraz 3 okólniki KC KPP.

Nie, nie było tu zdrady ani prowokacji. Wdziękoński po prostu zapomniał o zasadach konspiracji. I to stanowiło główną przyczynę wsypy. Aleksander Modzelewski, który mieszkał u Wdziękońskiego jako sublokator — zeznał, że jego gospodarz mówił przy nim o tym, że otrzymuje odezwy komunistyczne od jakiegoś Żyda w Zambrowie. I namawiał do pomocy w rozpowszechnianiu tego, co przywoził. Dawał mu nawet czytać literaturę. Ale nazwiska kolportera z Zambrowa nie wymienił. Na początku stycznia Wdziękoński przywiózł z Zambrowa dużą ilość odezw. Część z nich zaraz schował, a pozostałe zapakował, mówiąc, że zawiezie je sąsiadowi z tej samej wsi — Józefowi Tymińskiemu.

Stanisław Meloch — mieszkaniec Porytego opowiedział natomiast władzom śledczym o zajściu, jakiego był świadkiem 8 stycznia 1931 na ulicy w Zambrowie.

— Szliśmy razem z Wdziękońskim, zatrzymł nas jeden Żyd, odciągnął Wdziękońskiego na bok. I coś mu powiedział. Kiedy Wdziękoński wrócił — powiedział, że zaraz mu ten Żyd przyniesie gazety. Postaliśmy trochę. I po chwili ten Żyd rzeczywiście wrócił. Mrugnął na mego sąsiada. I obaj poszli w podwórko. Kiedy Wdziękoński wrócił, powiedział, że już te gazety ma. Odgiął połę jesionki i pokazał mi plik jakichś drukowanych papierów. Chciałem te papiery obejrzeć. Wdziękoński powiedział, że mi je pokaże, jak wrócimy do domu.

Po przyjeździe do Porytego nie pokazał mu jednak tego, co było w paczce.

— Zapytałem więc jego sublokatora — Modzelewskiego, czy ma on jeszcze przywiezione z Zambrowa druki. Powiedział, że ma.

Było to na krótko przed 12 stycznia. Dzień wcześniej do pracującego w majątku wieczorem Modzelewskiego przyszedł Wdziękoński.

— Wyglądał, jakby był zmieszany... No i następnego dnia te odezwy na drzwiach... były.

Meloch opisał osobnika, z którym Wdziękoński spotkał się przy nim w Zambrowie. Zatrzymano Szmula Słowika, w którym rozpoznał tamtego.

15 stycznia, w majątku Poryte znów podrzucono odezwy. W związku z tym aresztowano Józefa Tymińskiego, który w roku 1928 kandydował w wyborach do władz terenowych z listy komunistycznej.

Sprawa się skompilkowała, bo Modzelewski zeznał dodatkowo, że Wdziękoński przyznał się w chwili szczerości, że ma w zabudowaniach ukryte cztery granaty. Było to w czasie ubojowiania ogniw partii. W wyniku przeprowadzonej rewizji jeden ukryty w stodole granat policja rzeczywiście znalazła. Rzecz jednak wydaje się mocno podejrzana. Bywały bowiem przypadki podrzucania przez policję „dowodów rzeczowych". Zdaje się potwierdzać to fakt oddzielenia od całości sprawy zarzutu posiadania broni i niezwykle łagodne potraktowanie za to oskarżonego. Rozprawa w związku z tym odbyła się już 26 sierpnia. Wdziękońskiego skazano na 100 złotych grzywny i zwrot kosztów sądowych.

Uznano widocznie, że dowodów w sprawie zasadniczej jest dosyć. Znaleziona w trakcie przeprowadzanych rewizji literatura miała jednoznaczną wymowę. Broszura nosząca tytuł „Komunistyczna Partia Polski" zawierała hasła nawołujące do walki w obronie ZSRR, o Polską Republikę Rad Robotniczych i Żołnierskich. Wydawnictwo datowane w marcu 1930 roku wydano w Warszawie. Wśród druków były również trzy okólniki KC KPP. Ich treść skierowana była do robotników rolnych, ogółu mas pracujących. Zawierały m.in. następujące hasła: *„Precz z narzucaniem faszystowskiej umowy zbiorowej na rok 1931"; „Niech żyje walka strajkowa przeciwko redukcjom o poprawę bytu"*. Okólnik noszący tytuł „W sprawie szturmowej kampanii antyrewolucyjnej", wydany w grudniu 1930 roku, zawierał szereg ważnych in-

papierowe lance

Koszary zambrowskie dziś.

strukcji, m.in. na temat tego, w jaki sposób prowadzić robotę polityczną wśród chłopów, jak agitować w wojsku. W mieszkaniu Wdziękońskiego znaleziono również wytyczne w sprawie przeprowadzenia V zjazdu KPP i kampanii przedzjazdowej.

W tym samym czasie policja stwierdziła przypadki kolportażu nielegalnych wydawnictw na terenie Zambrowa. 14 grudnia 1930 roku Antoni Zaręba, idąc ulicą Poświętną w kierunku miasta, zauważył na ścianach budynków świeżo naklejoną odezwę. Spotkał też tego, który tę odezwę nakleił. A ściślej, domyślił się, że to musiał być on, bo jeszcze trzymał w ręku ulotki.

— Idąc dalej zobaczyłem na ganku domu Wierzbowskiego przyklejoną taką samą odezwę. Przeczytałem ją i stwierdziłem, że zostały wydane przez KPP. Co tam pisało? No... *„Precz z rządem Piłsudskiego..."* I takie inne tam... Zaraz zameldowałem na policję.

Dochodzenie ujawniło, że naklejone tego dnia na budynkach domów w Zambrowie odezwy zostały wydane w listopadzie 1930 roku przez „Europejski Komitet Chłopski w sprawie wypadków na Zachodniej Ukrainie". I „pod treścią antypaństwową" zawierały takie hasła jak: *„Precz z krwawemi rządami faszystowskiemi"; „Precz z przygotowaniami wojennemi i kampanią antysowiecką"; „Ziemia dla chłopów, fabryki dla rolników, Niech żyje rząd mas robotniczych"*.

Akcje przybierały na sile. Odezwy — zdzierane jednego dnia przez policję, pojawiały się na murach Zambrowa zaraz w następnym dniu, lub z niewielkim opóźnieniem. Oto posterunkowi — Walenty Szarejko i Franciszek Kwiatkowski, patrolujący miasto w nocy 14 stycznia 1930 roku, zauważyli na ścianach domów naklejone odezwy nawołujące do masowych demonstracji przeciwko wojnie ze Związkiem Radzieckim" *przygotowywanej przez międzynarodowy kapitalizm"*. Podpisany był pod tym dokumentem: *„KC KPP Sekcja Międzynarodówki Komunistycznej"*. Obok zaś wydrukowano: *„Warszawa 30 grudnia 1930 roku"*.

Starszy posterunkowy Adam Babecki, przechodząc 22 stycznia 1931 roku ul. Jatkową zauważył na ścianie budynku, w którym mieścił się Sąd Grodzki napis: *„Cześć pamięci Lenina, niech żyje rząd robotniczo-włościański"*. Hasło wypisano różowym ołówkiem. Babecki polecił ten napis zetrzeć.

Tego samego dnia Monika Kołakowska idąc ulicą Czyżewską do koszar znalazła drukowany papier, który okazał się ulotką komunistyczną. Plutonowy zawodowy — Władysław Przybysz również 22 stycznia odkrył na terenie koszar paczkę pełną druków. Jeden z nich wyjął, a resztę zakopał w śniegu. Odezwy znalezione przez innych świadków były tej samej treści. Wykonane zostały techniką powielaną, w grudniu i styczniu, przez wydział techniki Komitetu Okręgowego KPP w Łomży. Nawoływały: *„Żądamy chleba i pracy"; „Niech żyje jednolity front wszystkich robotników"; „Precz ze zdrajcami i socjalfaszystami z PPS i Bund"*.

Ponieważ sprawców nie udało się wykryć, zatrzymanie Szmula Słowika było doskonałą okazją do wykazania się przed zwierzchnikami operatywnością. Postanowiono wszystkimi przewinieniami obciążyć właśnie jego. 23 stycznia przeprowadzono w jego mieszkaniu rewizję. Znaleziono ołówek koloru malinowego — tego samego, którym wymalowane było hasło, a także maszynkę do ostrzenia ołówków ze śladami świadczącymi niezbicie, że niedawno była... używana.

Większość tych dowodów była potrzebna policji tylko do udowodnienia tego, co już wiedziano. Oto co stwierdzono w końcowych fragmentach aktu oskarżenia: *„Szmul Słowik, Józef Tymiński, znani są miejscowej policji jako działacze komunistyczni, pełnili oni bowiem funkcje tzw. »techników« Związku Młodzieży Komunistycznej. Ponadto Tymiński notowany jest w Łomży jako podejrzany o działalność antypaństwową. Należał on do Niezależnej Partii Chłopskiej, po zlikwidowaniu której wstąpił do Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej »Samopomoc«"*.

Oskarżeni oczywiście nie przyznali się do winy. Ale nie miało to wpływu na przebieg procesu. Wdziękońskiemu i Tymińskiemu postawiono zarzut przechowywania i kolportażu komunistycznej literatury. W stosunku do Słowika zaś, obok kolportowania, zarzucano ekspiediowanie literatury w teren i wypisanie na ścianie domu, w którym mieścił się Sąd Grodzki, hasła: *„Cześć pamięci Lenina, Niech żyje rząd robotniczo-włościański"*. Jana Wdziękońskiego i Szmula Słowika skazano na 5 lat ciężkiego więzienia.

W dniu 20 stycznia 1932 roku przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie odbyła się rozprawa. Wyrok zaskarżył w imieniu Jana Wdziękońskiego — Teodor Duracz. Sąd w składzie: Miron Chyczewski, Konstanty Jaworowski, przy udziale podprokuratora Bronisława Kowerskiego — uznał winę oskarżonych za udowodnioną. Zaskarżony wyrok jednak — w części dotyczącej wymiaru kary — uchylono i skazano obu na cztery lata ciężkiego więzienia oraz dwieście czterdzieści złotych grzywny. Uznano, że Słowika niesłusznie oskarżono o napisanie na ścianie hasła na Lenina. Było to jedynie uchybienie. W pozostałych punktach Sąd Apelacyjny zgadzał się z Sądem Okręgowym... Jedyna kredka znaleziona w czasie rewizji była dla warszawskich prawników równowartością roku, całego roku wolności.

Działalność KPP na terenie miasta i gimny Zambrów oczekuje jeszcze na swego badacza. Pracująca tu komórka musiała być niezwykle prężną. Świadczy o tym chociażby fakt, że w archiwum Teodora Duracza — który stawał przecież w obronie komunistów z całej Polski i był jednym z wielu adwokatów takich — są aż dwie sprawy z tego miasta.

11 czerwca 1931 roku do Sądu Okręgowego w Łomży wpłynął akt oskarżenia przeciwko Nisenowi Jabłonce — lat 18 i Mojerowi Lipszycowi — lat 19. Zostali oskarżeni o to, że należeli do Związku Młodzieży Komunistycznej *„czyli do spisku zawiązanego w celu dokonania zamachu na ustalony w drodze praw zasadniczych ustrój państwowy Polski [...]"*

Oto przedstawione sądowi fakty: w dniu 5 listopada 1930 roku mieszkaniec Zambrowa Zygmunt Pogroszewski zauważył po godzinie 22.00, na ulicy Łomżyńskiej w Zambrowie, Noska Jabłonkę stojącego w towarzystwie innych nieznanych mu osób. Pogroszewski miał podobno zauważyć, że chowa on coś pod marynarkę. Przystanął. Zaczął Jabłonkę obserwować, co tamten dostrzegł i zaraz schował się do sieni najbliższego domu. Tego samego wieczoru w miejscu, gdzie widziano Jabłonkę, ktoś zawiesił na drutach transparent komunistyczny. Powiadomiono o tym stróża nocnego — Lucjana Baranowskiego, który transparent zdjął. Był zrobiony z czerwonego płótna, a po jego obydwu stronach było wymalowane hasło: *„Niech żyje 13 letni socjalizm w ZSRR! Precz z karną ekspedycją w Małopolsce, Niech żyje Polska Republika Rad! KPP"*. Transparent oddano starszemu posterunkowemu — Adamowi Babeckiemu.

Jakiś czas sprawy biegły swoim torem. Dopiero 12 listopada 1930 roku przodownik policji Stanisław Kiepel, spodziewając się wystąpień w związku z wyborami do sejmu, wysłał na miasto wzmocnione patrole. I nie mylił się w swych przewidywaniach. Oto dwaj policjanci: Franciszek Kwiatkowski i Walenty Szerejko znaleźli na pl. Kościuszki, 14 odezw pisanych po polsku i 17 w języku żydowskim. Stefan Komorowski dostrzegł zaś na ulicy Jatkowej świeżo naklejone odezwy. Idąc w kierunku placu Kościuszki zauważył dwie osoby stojące blisko muru jednego z domów. Komorowski postanowił działać bardzo ostrożnie. Poszedł na pl. Kościuszki, wszedł do sieni przechodniej prowadzącej na ul. Jatkową, z której zamierzał „podejść" tych dwu. Gdy wychodził z niej, osobnicy ci właśnie zamierzali wejść. Zobaczywszy mundur rzucili pędzle, garnuszek z klejem, ulotki i zaczęli uciekać. Komorowskiemu udało się ich zatrzymać, doprowadzić na posterunek. Byli to właśnie Lipszyc i Jabłonka. Przy zatrzymanych znaleziono 28 odezw wydanych przez „Jedność Robotniczo-Chłopską". Biegły w sprawach politycznych, Michał Olendzki z Białegostoku wyjaśnił, że „Jedność Robotniczo-Chłopska" nie jest organizacją komunistyczną działającą przez jakiś określony czas na danym terenie; lecz, że jest to twór chwilowy stworzony po to, aby nielegalnie działająca w Polsce partia komunistyczna mogła brać udział w wyborach do sejmu. Ze względów taktycznych komuniści zgłaszają kilka list, chcąc w ten sposób uchronić się od ich unieważnienia (co groziłoby w przypadku, gdyby była tylko jedna) i wyeliminowania z wyborów. Organizacja komunistyczna zgłosiła na terenie łomżyńskim 4 listy, z tego zatwierdzono tylko dwie: PPS-Lewicy i Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc"

Oskarżeni do winy się nie przyznali. Stwierdzili w czasie przesłuchania, że nie mają pojęcia, kto wywiesił ów transparent i kto rozrzucał i rozlepiał ulotki.

Wyrok zapadł 20 lipca 1931 roku. Sąd uznał, iż obaj są *„winni rozlepiania i rozrzucania odezw o treści komunistycznej"* i skazał obu na cztery lata ciężkiego więzienia. Najważniejsze w sentencji wyroku jest — jak się wydaje — jedno zdanie które wystarczało w zupełności na wieloletni wyrok. W procesach politycznych liczy się bowiem przede wszystkim cel, któremu służyć ma działanie uznane przez stronę wymierzającą sprawiedliwość — za przestępcze. Brzmi to zdanie tak *„obaj oskarżeni w kartotekach policyjnych już przeszło półtora roku notowani byli jako podejrzani o działalność antypaństwową oraz utrzymujący stały kontakt z osobami karanemi sądownie za komunizm"*.

ZENON PIECHOCIŃSKI
Fot. RYSZARD PIECHOCIŃSKI

dokument

baśnie dla dorosłych

baśnie Emila Bieli

bliźniaczki piękniaczki

Obie były bardzo piękne! Drobne, czarnowłose, o ciałach białych, aż nieśmiałość brała patrzeć na nie jawnie. Gdy o zachodzie słońca ciemne głowy w otwartych oknach na poddaszu domku wystawiały, to zdawało się, że nowe gwiazdy się pojawiły. A to były przecież tylko twarze bliźniaczek-piękniaczek: Lubomiry i Ludosławy.

Szczególnie lubiły spoglądać na drogę. Na niej zawsze coś ciekawego się działo. Oto na przykład teraz kroczy Spitymir, stały bywalec gospody „Pod zburzoną basztą". Idzie, jak zwykle, w wielkich butach o potrójnych, ciężkich podeszwach z ołowianymi obcasami. Ciężko szura nogami, ale idzie prosto, i na pewno nie padnie do przydrożnego rowu — kolebki wszystkich pijaków.

Ale tak po prawdzie, to Lubomira i Ludosława wyglądają swego wytęsknionego i wymarzonego. Wybierają ciągle, a nadal pozostają pannami. Tylko czekać, a będzie też można powiedzieć, bez kłamstwa i złośliwości, że — starymi. Tymczasem, czekają królewicza wyśnionego na jawie i we śnie. Niechby przyjechał, jeżeli nie konno, to samochodem, ale koniecznie białym i wielkim. W tajemnicy przed wszystkimi, do każdej kolacji siadały razem z takim pięknym królewiczem. Patrzył nieruchomo na bliźniaczki i nawet nie raczył się uśmiechnąć. Z iście królewskim majestatem na nie spoglądał. Jeść też nie chciał i pić również nie.

— Chodź ze mną we wspólny sen — prosiła kusząco Lubomira.

— Połóż rękę na mym sercu — zezwalała Ludosława.

Ale Malowany, spoglądając dostojnie z portretu, nawet nie drgnął. Sprawiał wrażenie, jakby posiadł już wszystkie kobiety świata. Jakby był zmęczony szlachetnością i prawością. Skazany na szczęście i powodzenie. Wieszały go więc z powrotem na ścianę, zasuwały kotarę z bordowego aksamitu i same kładły się spać. Śnił im się potem wspólnie — wspólny mąż.

A następnego dnia przed kolacją znowu ozdabiały sobą okna na poddaszu, z ironią patrzyły na Spitymira, z uśmiechem pozwalały się bezgrzesznie całować zachodzącemu słońcu. Słuchały, jak ciepły zmierzch szepcze wieczorowi: Wiwat miłość! Wiwat miłość! Wiwat cała dla kochanków noc! Wzdychały, bo Malowany milczał i milczał...

Drewniany domek z żywymi malowankami w podniebnych oknach niczym magnez przyciągał mężczyzn, ale nikt nie śmiał wejść do środka, aby po drewnianych schodach wspiąć się do Lubomiry i Ludosławy. Ustokrotnione marzenia męskie wielką chmurą krążyły więc tylko nad czerwonym dachem domu.

Aż wreszcie zdobył się na odwagę Świętorad. Spitymir pożyczył mu swe cudowne buty, aby przypadkiem nie zechciał zbiec, wycofać się z powziętego zamiaru. I tego wieczoru Malowany nie zasiadł do wspólnej kolacji. Musiał tkwić samotnie za bordową zasłoną. Świętoradowi wydało się, że ma raj w uszach, gdy usłyszał:

— Chodź ze mną we wspólny sen!

— Połóż rękę na mym sercu!

Żałował, że ma tylko dwie ręce i jedne usta. W ciemnościach, jasnych od białych ciał, spełniły się zwyczajne pragnienia piękniaczek. Nazajutrz Świętorad oddał buty Spitymirowi, ale też zaraz zamówił sobie u szewca Ziemowita podobne.

— Dawniej ludzie zamawiali u mnie buty siedmiomilowe, a teraz takie, żeby nie można było uciekać, żeby na zawsze pozostać... Cuda, cuda — dziwował się poczciwy Ziemowit.

Premiera w Teatrze w Győr (Węgry).

mędrzec

Mieszkanie to pełne było starych i nowych książek. Były też dwa okna. Jedno duże z widokiem na przeszłość oraz maleńkie, przez które widać było teraźniejszość. Nie było natomiast radia, telewizora, telefonu. W wielkiej i ciepłej przepaści olbrzymiego fotela siadywał brodaty Niezamyśl i przemądrzale dumał nad różnymi sprawami. Lata mijały i już ich drugi różaniec stał przed mędrcem, a ten nie zdążył nawet rodziny założyć, syna lub wnuka się doczekać, aby byli prawdziwą osłodą gorzkich, bo starczych dni. Biuścistej i pyskatej Spitosławie, która mu jeść gotowała cierpliwie tłumaczył, że malizna ludzkiego rodzaju do szczęścia wcale nie jest mu potrzebna.

— Jedynie to, co jest przed myśmyślą i poza czasem, warte jest zachodu, zgłębienia i poznania... — mawiał kobiecie, która gotowa była zaraz i dziesięcioro dzieci mu urodzić.

Spitosława napierała na Niezamyśla wielkim biustem, ale ten cierpliwie odsuwał ją od siebie i o pięknie, dobroci i miłości uczenie prawił.

— Za trumną nie będzie wam miał kto iść! — straszyła go. — Takich domowych mędrców na kopy jest wszędzie! Żeby to jeszcze na jakiejś kazalnicy stanęli! Ale nie! Wolą w domu się mądrzyć. Innych krytykować i wyśmiewać, wady im wytykać. Sami mądrzy, innych mądrymi nie chcą uczynić. Co to z takich koronowanych myśli? Nic. Nawet echo nie powtórzy! Bo stałoby się jąkałą.

Niezamyśl wcale nie zrażał się babskim gadaniem i z fotela prawie się nie ruszając, przemądre myśli ku sobie tylko w dalszym ciągu zganiał i zwoływał. Rady na wszystkie potrzeby tworzył. Wiedział na przykład, jak zostać pięknym. — Wystarczyło przed lustrem stać przez pół godziny i ani raz nie mrugnąć okiem; Jak być mężnym? — Założyć sklep z ptasimi piórami; Jak być pracowitym? — Przez pięć lat pełnić funkcję poziomego urzędnika; Jak być prawdomównym? — Przez trzy dni głośno mówić, bez żadnej przerwy, co się myśli; Jak być kochanym? — Tydzień cały świadczyć miłosne posługi osobom samotnym. I tak dalej, i dalej. Ale nikomu, niekomusieńkiemu o tym nie mówił, ani słówka. Nawet nie zapisał, a tylko w swojej głowie ciasno upychał czekając, aż go ktoś wielki do czegoś jeszcze większego powoła.

Miał na tę oczekiwaną okazję Niezmyśl przemyślenia znacznie ważniejsze. Wyjątkowo powiedział je miesiąc temu żółtemu duchowi, który wyszedł w czarnym płaszczu ze starej książki, nie czytanej od dwustu lat. Ów czarny żółtek powiedział, że zdąża do wielkich tego świata, aby powiedzieć im, że to nad czym się głowią teraz bezradnie, dawno już roztrzygnęli inni, a historia w koło się toczy, a nie kołem. Trzeba tylko uważnie patrzeć. Niezamyśl postanowił więc skorzystać z okazji i polecić bezcielesnemu żółtowcowi przekazanie swego przesłania.

— Nie śpiewajmy głośno: Babilon, Babilon. Nie zamieniajmy po babilońsku oszczędności w skąpstwo, ostrożności w tchórzostwo, odwagi w lekkomyślność, przesadnej wrażliwości w niemożność działania, nie dajmy się przerobić w aniołów, jak chcieli poeci, lecz zostańmy zwyczajnymi stwórcami chleba i ziemi.

Żółtoduch przyrzekł solennie spełnić misję, ale miał przy tym minę jak Spitosława, odpychana od fotela Niezamyśla. Minął jednak miesiąc jeden i drugi, zamierzał się trzeci, gdy nieoczekiwanie przyszła odpowiedź.

Telegram nadała pierwsza tegoroczna burza. Przez małe okienko z widokiem na teraźniejszość wpadła naga błyskawica i świetliście wypisała: *„Życie jest mądrzejsze od ludzi. Nie potrzeba nam domowych mędrców"*.

I wykrzyknikiem pioruna strzeliła w niebo.

słoneczny drogowskaz

Jak ćmy do światła leciały spojrzenia i pragnienia mężczyzn w jej stronę, gdzie tylko się pojawiła. Ale Krasnoroda w ogóle tego nie dostrzegała. Postępowała jakby na przekór męskim marzeniom. Sypiała zawsze nago i jej białe ciało świeciło w ciemnościach, kusząc niczym cudowna lampa. Kogo? Nikogo!

Bo Krasnoroda rozpowiadała naokoło, że mężczyźni są jej absolutnie niepotrzebni, że zawsze będzie płaskobrzucha, nigdy nie ulegnie słowom i miłosnym gestom jakichś tam Wieńczysławów, Wszemilów, Wiślimirów. Nazywała ich pogardliwie szerszeniami-uwodzicielami. Niejeden z nich nadaremnie chodził za Krasnorodą.

— Jak będę potrzebowała mężczyzny, to go zawołam — mówiła ze śmiechem, a słowa te niczym rzemienny bicz cięły zalotników.

I dziwna rzecz: odpędzani wcale nie poprzysięgali zemsty, nie odgrażali się, nie knuli zdradliwych i pokrętnych spisków. Czasem tylko któryś rzucił paskudne przekleństwo na temat staropanieństwa, ale Krasnoroda była głucha na takie mówienie. Nie byłobyż zatem miłosnej siły na Krasnorodę? Nie byłobyż?

Mijały lata. Nie gasła lampa Krasnorody. Ale gdy niespodziewanie dla wszystkich nastał czas wielkiego postu i nędzy, piękna dziewczyna poczuła dziwną, nieznaną dotąd tęsknotę, która oplątała ją jak dzikie wino. Zamarzyła z całą siłą o tym, aby ktoś powiedział do niej cicho, najciszej: — Umiłowana...

Nie zdradzała się z tymi myślami nikomu. Głód miłości rósł jednak w niej z każdym dniem, z każdą nocą. Czekała, aż ktoś rozerwie niewidzialną klatkę, rozchyli pręty i weźmie ją w ramiona. Ale mężczyźni, zatroskani o przyszłość rodzinnej ziemi, przestali dostrzegać piękno kobiecego ciała. Pieszczotliwie brali teraz do swych rąk grudy gleby, do niej kierowali pieszczotliwe słowa, prosili i korzyli się przed nią, by okazała się macierzyństwa pełną, by dała szczodre płody.

Aż wreszcie dostrzegł coraz mocniejszy blask lampy Krasnorody brodacz nad brodacze — Polemir. Brodacz nad brodacze, bo nigdy nie strzygł sobie brody, aż urosła mu do samego pasa. Śmiali się z niego przyjaciele, że służy i za koszulę, i za krawat.

Dziwnie łatwo splotły się długie włosy Krasnorody z długą brodą Polemira. Nie skończył się jeszcze czas wielkiego postu i nędzy, a Krasnoroda urodziła jasnowłosego Godzisławka. I zanim jeszcze malec nauczył się mówić słowo „tata", wypędziła precz od siebie Polemira, który ponad wszystko ziemię kochał, z nią się przecież czulił, do niej wstawał skoro jasny czy ciemny świt.

— Ona jest twoją kochanicą, idź do niej na zawsze! — wykrzyczała na pożegnanie.

Polemir odszedł bez słowa, chociaż chciał powiedzieć, że ta ziemia i ją kiedyś... Szedł szczęśliwy, by słuchać zielonego oddechu ziemi i na zawsze zapomnieć o Krasnorodzie, spalającej się w samotności.

Nagle zatrzymał się. A co będzie z małym Godzisławkiem? Wrócić po niego? Nie. Niech na razie delikatnie gasi lampę urody swojej matki.

I uspokojony ruszył tam, gdzie nakazywał słoneczny drogowskaz. W stronę sytych dni.

Fot. CAF — MTJ

lektura

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

28.05.1980 r. Pawłów

Miałam w domu informator. I cóż? Czarna rozpacz! Dochodzę do przekonania, że studia są bardzo, bardzo ciężkie. Ciągle pamiętam słowa naszej dawnej rusycystki, prof. Brzeskiej: — Nie bójcie się. Nie wmawiajcie sobie, że studia są straszne, ponad wasze siły. Wszystko dla ludzi.

Tak, tylko że dla ludzi z zapałem i energią, dla ludzi zdolnych i ambitnych, odważnych i wytrwałych. Czy ja taka jestem? Na uniwersytetach i w szkołach pedagogicznych jest 27 kierunków humanistycznych, które w pewnym sensie mnie interesują. Biorąc pod uwagę przedmioty, z których zdaje się egzaminy wstępne, połowę kierunków muszę wyeliminować z tej długiej listy.

Historia i prawo odpada, bo prócz literatury, historii i języka obcego, zdaje się tam jeszcze i geografię. Tyle jest tych kierunków.

Archeologia: — Nie... Jestem za mało dokładna, za mało cierpliwa. Nie, to nie dla mnie.

Filologia angielska: — Ha, ha, ha, ha! Dobre sobie...

Filologia rosyjska: — nie pamiętam nawet jak się pisze twardy znak.

Muzykologia: — nie, do tego trzeba mieć podstawy, jakieś przygotowanie.

Administracja: — ja 8 godzin za biurkiem? Sterta papierzysk i głupich rubryczek? Nigdy w życiu!

Etnografia: — Czy ja wiem...

Pedagogika specjalna: — ciekawe to, ale ja nie nadaję się do pracy w zakładzie dla upośledzonych dzieci.

Filozofia: — wspaniale... ale z tego chleba się nie ma, czyli żadnej konkretnej pracy. O filozofii można myśleć wtedy, gdy ma się w ręku zawód — źródło utrzymania. Można ją studiować dla własnej satysfakcji, z wewnętrznej potrzeby. Ja nie mogę sobie pozwolić na ten luksus.

Socjologia: — Hm, Hm...

Nauczanie początkowe: — dobre, ale trzeba mieć trochę zdolności, trzeba umieć śpiewać, rysować, lepić pajace z plasteliny i wycinać koguciki z kolorowego papieru.

Filologia polska: — no, oczywiście! Czemuż by nie? Tylko do tego się trochę nadaję.

Wychowanie techniczne: — mowy nie ma! Sprawność manualna dziesięcioletniego dziecka jest wyższa od mojej.

Bibliotekoznawstwo: — uwielbiam siedzieć za regałami, układać książki na półkach, wyjmować, wkładać, zapisywać, szukać, ale... bibliotekarką jednak nie chcę być. Jest taka niska ranga społeczna tego zawodu; z Szarową np. nikt się nie liczy. A czemu? Przecież ona też skończyła studia. Nie dokończyła pracy magisterskiej o pisarzu epoki romantyzmu — Józefie Kaczkowskim, ale studia ma.

Wychowanie plastyczne: — ja? Ależ skąd!

Historia sztuki: — bardzo bym chciała, tylko czy się dostanę...

Psychologia: — to bardzo interesujące, tylko że psycholog to taka miła i ładna pani, która siedzi w poradni zawodowej, albo gdzieś tam, i nie ma co robić. Do psychologa prawie nikt nie chodzi, bo zakorzeniła się u nas błędna opinia, że psycholog to psychiatra, a psychiatra — dla wariatów. Nie chcę być bezużyteczna, nie chcę popijać sobie kawki w godzinach pracy.

Pedagogika opiekuńcza: — ostatecznie... może być. Z tym, że praca w szkolnej świetlicy, w internacie, nie bardzo mnie nęci.

Kulturoznawstwo: — kto wie? Kto wie?

Nauki polityczne — otóż to! A najwspanialszy jest wydział dziennikarski, tylko że nie ma takiego we Wrocławiu. No, nauczycielskim też nie pogardzę.

— Każdy sili się na oryginalność — mówi moja koleżanka Jola. — Chce pokazać swoją inność, odmienność, a jak przyjdzie co do czego, to chowają głowy w piasek, nie wybijają się z tłumu. Te potworne konwenanse hamują nasze działania, tyle jeszcze u nas znaczą... Boimy się wyróżniać, nie chcemy być inni.

10.06.1980 r. Brzeg.

W Brzegu ostatnio dużo się dzieje. W Brzegu jest mnóstwo tematów do plotek. Ot, weźmy sobie choćby nasz ogólniak i życie prywatne „ciała pedagogicznego". Dwa miesiące temu zmarła matka Andrychowej — mówiło się o tym i mówiło, współczuło się Andzi i współczuło. Potem zmarł ojciec Iwańcowej z Przylesia, i też była sensacja. Od Bożego Ciała mam kolejny temat rozmów — szczegóły śmierci i pogrzebu Leszka Izbińskiego, dyrektora brzeskiego archiwum, męża pracowitej Broni (wicedyrektor Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Brzegu), ojca Czarnusia z II a.

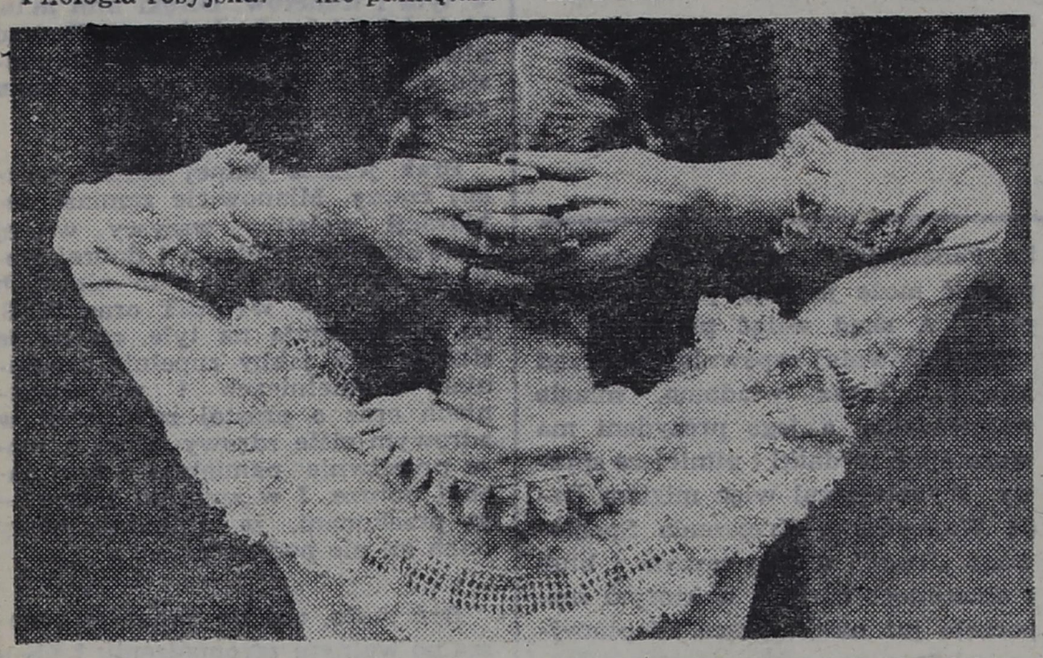

W czwartek umarł p. Izbiński, a w piątek było wydarzenie żywcem wyjęte z jakiejś kryminalnej powieści. Mąż zabił żonę. Ich sprawa rozwodowa była ponoć w toku. Mieli dorosłe córki. Ten mąż ciągle znęcał się nad żoną, na nic jej nie pozwalał, bił ją. Od jakiegoś czasu żona miała romans z Mohylukiem, mężem naszej babci od wuefu. Kiedyś zastał on Mohyluka u żony i ciężko go poturbował. Mówią, że bezpośrednią przyczyną zabójstwa był właśnie Mohyluk. Mąż pojechał do Łukowic (tam żona pracowała w biurze) i pchnął ją kilka razy nożem. Na mieście wiszą już nekrologi: *„Dnia 6.06.80 r. zmarła śmiercią tragiczną Władysława Korzeniowska z domu Kocan, lat 47 [...]"*

Jak przeżywa to nasza babcia?! Cóż musi czuć sam Mohyluk? Co się stanie z prawdziwym mordercą, psychopatą Korzeniowskim?

Takie i inne pytania zadają sobie ci i owi.

Przedwczoraj powiesił się naczelnik więzienia. I to już ostatnia nowinka! Powinien się jeszcze przerwać ten łańcuszek tanich sensacji. Powinien już być koniec wszelkich zabójstw, samobójstw i mordów. Powinny się już zamknąć usta plotkarek, nie tylko tych starych i brzydkich; tych, co to co rano stoją w kolejce w masarni po myśliwską, boczek i schab, ale i nasze — malinowe usteczka licealistek.

Po lekcjach

Depesza nadzwyczajna! Depesza nadzwyczajna! Ów naczelnik więzienia to nikt inny, jak tylko sam p. Winiarski — ten od Tosia z III a (brat) i ten od nauczycielki śpiewu z dziewiątki (mąż). Pan Winiarski powiesił się, wyprawiają mu piękny pogrzeb z orkiestrą, tłumem gapiów i kilkoma autobusami.

To o p. Winiarskim, a tymczasem u nas... katastrofa, wielka klapa. I to wszystko wydarzy się już za niespełna godzinę. Idę właśnie na festiwal, na premierę „Narzeczonych". Myślałam, że chociaż tremy nie będzie, bo przyjdzie malusieńka ilość widzów, ale gdzież tam! Fiksa kazał przyjść na festiwal całej I a, ze Skowronkiem, Łuczkowem, Zawadzkim, Hermanem. Jakże będę się mogła skupić i opanować w takich warunkach? Cóż ja poradzę na to, że na ich widok moje piękne lico pokrywa się rumieńcami? Ja się boję!

I... po premierze

— Ja się boję! Ja się boję! Ja się boję! — powtarzałam to bez przerwy, a moja twarz zmieniała barwy tak samo, jak ciało kameleona. Byłam zielona, żółta, blada jak trup. Piotruś dał mi nawet maluśką pastylkę neospasminy. I już jest po wszystkim! Poszło dobrze! Taka jestem opromieniona radością! Najlepszy teatrzyk — z III c, najlepszy spektakl — „Narzeczone" Korzeniowskiego. Najlepsza kreacja aktorska — Piotra Szej z III c. Wspaniale!

Piotrek postawił potem wszystkim lody (u Goździka! Owocowe!). Było przyjemnie, wesoło. Czuliśmy się jak prawdziwa trupa aktorów, która po udanym przedstawieniu idzie do kawiarni — poplotkować, podyskutować. Bomba! II miejsce miała III d za fragment „Słówek" Boya-Żeleńskiego; III — III b, m.in. za „Kaloryfery" wyjęte z teatrzyku „Zielona Gęś" Gałczyńskiego: IV miejsce — II d za fragment współczesnej, nastolatkowej i dyskotekowej sztuki pod

chciałabym, a boję się

tytułem brzmiącym mniej więcej tak: „My, rocznik 80"; miejsce V — III a, z fragment dramatu Majakowskiego „Na co się skarżycie". Dobrze tak III a, dobrze tak Oli Kamiuk!

8.07.80 r. Radom.

Jak pracujemy? Już wszystko tłumaczę. Otóż całe zgrupowanie zatrudnione jest w tutejszym Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Każdy hufiec pracuje na jakimś innym odcinku. Grupa Serkiesa tworzy oddzielny hufiec — Brzeg 2. Grupa Karwowskiej — to Brzeg 1, p. Ważnego — Brzeg 3. Jest tu młodzież z Głogowa, Namysłowa, Piotrkowa Trybunalskiego, Kluczborka, Człuchowa i Węgrowa. My (tzn. 22 dziewczyny od Serkiesa) pracujemy w amfiteatrze. Naszym szefem jest nie Leoś, a tamtejszy majster, brygadzista, czyli po prostu p. Zenek.

Na początku byłyśmy zrozpaczone i zupełnie zniechęcone. Teraz to wszystko już przeszło. Przekonałyśmy się, że praca wcale nie jest taka ciężka, że można się obijać i leniuchować.

Już pierwszego dnia p. Zenek mówił: — Zawsze wchodzimy na tzw. księżycowy pejzaż i naszym zadaniem jest założyć trawniki.

Nie ukrywał, że jedynym narzędziem naszej pracy będzie łopata. Nie bardzo nam się to podobało. Zazdrościłyśmy dziewczynom z innych hufców; tym co plewią, pracują przy różach, w szklarniach. Dzisiaj wiemy, że nie jest tak źle.

— Wiecie — my wcale nie mamy tak najgorzej. Inne dziewczyny pracują kilofami przy budowie drogi — mówi Grażyna.

Łopaty wcale nam nie przeszkadzają. Mamy się chociaż na czym podeprzeć! Na rękach nie robią się pęcherze, bo mamy wielkie rękawice ze sztruksu. Robimy różne rzeczy, np. ładujemy ziemię na przyczepę traktora, równamy skarpy, wyrywamy chwasty, wyrównujemy teren, rozrzucamy ziemię, kiedyś zamiatałyśmy wjazd tuż przed asfaltowaniem. P. Zenek niewiele przesadził mówiąc o księżycowym krajobrazie. Glina, błoto, porozrzucane w nieładzie kamienie — oto miejsce naszej pracy. Ziemia, z którą mamy do czynienia, często (bo nie zawsze) wygląda tak, jakby pochodziła prosto z wysypiska śmieci. Spotkać w niej można wszystko — stare żelastwo, porozbijane butelki, zniszczone kalosze, szmaty, pudełka od papierosów.

Najważniejszy jest p. Zenek. W amfiteatrze pracuje kilka osób z jego brygady — „babeczki", chłopcy. Wszyscy wyglądają zupełnie tak samo, jak pracownicy MPGK i Zieleni Miejskiej z Brzegu, Opola czy Wrocławia. Są bardzo podobni i do pijaków z Obrońców (do Romea i Julii), i do brzeskiej ladacznicy Krysi Mykity. Twarze mają czerwone, oczy zapuchnięte, a wyrazy twarzy nader głupkowate. Jest tu p. Mela noszący wiecznie tę samą stylonową, czarną chusteczkę, gruby fartuch i męskie półbuty; jest p. Jadzia, ciągle karcona i wykorzystywana, popychadło; jest kobieta w bordowym fartuchu, zwana przez wszystkich „ciotką" — najbardziej pracowita, pełniąca rolę pierwszych skrzypiec w orkiestrze u p. Zenka; jest jeszcze „babeczka" w seledynowym swetrze — ta pracuje powoli. Nabiera powolusku odrobinę ziemi na łopatę, podnosi do góry, bierze rozmach, ma zamiar rzucić tę torfową ziemię gdzieś dalej... i nagle dzieje się coś niezwykłego: ona jakby zastyga i stoi nieruchomo w jednej pozie przez kilka minut. Żaden jej mięsień, żaden muskuł nie drgnie. Wygląda wtedy jak zaczarowana figura, odlana z wosku. W brygadzie p. Zenka jest i kilku przedstawicieli płci brzydkiej. Mamy p. Walka, p. Piotrusia, p. Sławka i p. Jutka. Mężczyźni to obiboki i lenie. Oni wszyscy nie robią nic, tylko siedzą przez 8 godzin w barakach i grają w durnia, w warcaby, albo czytają „Głos Pracy", „Echo Dnia" i „Życie Radomskie". Co niektórzy w sposób bardziej inteligentny i wyszukany spędzają swoje roboczogodziny. W brudnym, cuchnącym wozie czytają sobie „Czarne okręty" Joe Alexa i rozwiązują krzyżówki. Wiedzą, że część papierosa to tutka, że i trójkąt, i koło i kwadrat, to figury geometryczne, że pora roku to sezon.

Przyzwyczaiłam się już do pracy, do chwastów i do kłótliwej p. Meli. Jest mi całkiem dobrze.

16.07.80 r. Radom

Pierwsze naprawdę własne pieniądze! Samodzielnie zarobione 1619 złotych! To jest coś! Dopiero teraz zauważyłam, że potrafię być bardzo oszczędna. Szanuję swoje pieniądze. Szkoda mi ich wydawać na byle co. Większość dziewczyn już tu, w Radomiu, straciła całą swoją pensję. Kupowały sobie drogie, bawełniane sukienki w „Modzie Polskiej", buty na szpileczce, moc kosmetyków, a malutkim siostrzyczkom — wielkie miśki.

Ja też chodziłam po radomskich sklepach. Parę rzeczy mi się nawet podobało: Śliczna letnia sukienka była jakby uszyta specjalnie dla mnie; dekolt dość duży, wąskie ramiączka, w pasie szeroki, marszczony odcinek, który umiejętnie zakrywał wszystkie moje fałdki tłuszczu, i mój wystający brzuch, potem luźno spuszczona, dość szeroka i długa; na delikatnym materiale przepiękny motyw kwiatowy. „Nie warto jej kupować. Lato się już kończy, zresztą i tak nie będzie ładnej pogody." Puderniczka." Przydałaby mi się. Wystarczy lekko przypudrować nosek, a znikają wszystkie moje piegi! Półgolf z szetlandu. Chciałabym mieć jakiś jeden porządny sweter. „Ten jest za drogi... a i kolor jakiś taki niewyraźny".

Srebrne klipsy. „Ładnie by mi w nich było. Mają taki śliczny, malutki turkusik. Eee tam, jeszcze gdzieś zgubię." Torebka ze skóry. „Ona jest śliczna... Nie, za mała. Zresztą mam już jedną." Lokówka do włosów. „350 złotych? Hm, chyba przepłacę. W państwowym sklepie są podobno po 280".

Tak sobie właśnie myślałam. Słowo wam daję — gdybym dysponowała cudzymi pieniędzmi, zarobionymi przez mamę, czy przez tatę, nie miałabym takich skrupułów.

Wiesława Barcicka
z Brzegu
Fot. CAF

KONTAKTY

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 52 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

sport

kogut bez głowy

Przed rokiem, już w pierwszym numerze „Kontaktów" rozpocząłem zdecydowany „atak" na Łomżyński Klub Sportowy. Kpiłem, sugerowałem, dopingowałem. Nie z wrodzonej złośliwości jednak, wręcz przeciwnie. Winien tu jestem jedno wyznanie: będąc w przeszłości związany z tą firmą zawodowo miałem okazję poznać kulisy jej działania i — co ważniejsze — dałem sobie zaszczepić niezniszczalną sympatię dla tegoż klubu. I ona, i tylko ona, jest głównym motorem moich dziennikarskich wynurzeń na temat sportu. A że nie zawsze przebija z nich zachwyt, to chyba tylko potwierdza zasadę: Jak kocha to bije...

Wracając do meritum. Czy coś się w ciągu minionego roku w klubie zmieniło? Pesymistą nie jestem, ale odpowiedź może być tylko jedna: jest gorzej niż źle. Mój pesymizm wydaje się uzasadniony, choć pozory mówią inaczej.

Powie ktoś, że klub nie ma już długów; tenisiści stołowi wrócili po rocznej nieobecności w szeregi drugoligowców i to w pięknym stylu, a ich koleżanki otarły się nawet o ekstraklasę i zabrakło tylko przysłowiowego łutu szczęścia, abyśmy po raz pierwszy w historii Łomży oglądali zmagania pierwszoligowców. Dytkowski, niektórym na złość, odbudował drużynę koszykówki. I to nieźle, o czym świadczą choćby wyniki uzyskane przez dziewczęta na ostatnim turnieju w Olsztynie. Jeśli nikt mu nie będzie nadal przeszkadzał, a pomoc będzie miał taką, jakiej udziela miejski inspektor szkolny, to prawdopodobnie już za dwa lata koszykarki walczyć będą o drugą ligę. Także piłkarze w gruncie rzeczy nie zawiedli. Po słabej rundzie jesiennej z miejsca dziewiątego awansowali na trzecią pozycję, nie przegrywając wiosną ani jednego meczu. Wykazali więc wielką ambicję i — jak głoszą ustne przekazy — nieprzekupność. Ostatni turniej piłki nożnej udowodnił również, że mamy w Łomży zdolną i chętną do gry młodzież i można śmiało obejść się bez „zakupów".

Rysunek Jerzego Dobrzynieckiego

Właśnie. Wszystko to prawda, ale sytuacja klubu jest podobna do sytuacji koguta, któremu przed chwilą odcięto głowę. Są to ostatnie podrygi. Wszystko bowiem wskazuje na to, że w przyszłości klub będzie działać w jeszcze gorszych warunkach i nic tu nie pomoże przekorny polski charakter. Na czym opieram swoje czarnowidztwo?

Sprawy finansowe: dochodów własnych klub nie ma. Wojewódzka Federacja Sportu w Łomży zapewnić może jedynie pieniądze na płace. A skąd wziąć pieniądze na sprzęt? Dawniej zapewniał je Urząd Miejski. Teraz wiadomo, miasto wojewódzkie, a jego prezydent ma ważniejsze wydatki i pilniejsze sprawy. Wykolegował więc migiem Radę Wojewódzką Zrzeszenia Sportowego „Start", a tym samym i klub z obiecanego baraku, w którym rozpoczęto już nawet prace adaptacyjne właśnie na nowy sportowy miniobiekt. Trenować tam mieli tenisiści stołowi i strzelcy. Na razie tenis korzysta z sali Technikum Weterenaryjnego, a strzelcy ze strzelnicy przy stadionie. Co jednak będzie jesienią i zimą? Wreszcie, gdzie mają trenować piłkarze? Miasto wojewódzkie dysponuje jedną płytą piłkarską udającą boisko, a są przecież nie tylko klubowicze, ale i uczestnicy rozgrywek ligi robotniczej.

Przez wiele lat zarzucano klubowi, że potrafi tylko brać, nie dając społeczeństwu nic w zamian. W tym roku chciałby wreszcie spełnić postulaty i zaczyna organizować sekcję sportu masowego. Tylko że przyszłość tej sekcji jest mglista. Powód prozaiczny: brak bazy. Fachowców co prawda w klubie nie brak, ale gdzie ten sport masowy mają organizować? Ani boiska, ani sali. I co na to TKKF i PTTK? Przecież tzw. masówka to ich statutowa działalność. Czy istnieje zatem potrzeba powoływania takiej sekcji?

Największą jednak bolączką jest brak społecznych działaczy w klubie. Pozyskać ich coraz trudniej, bo działanie społeczne, nie tylko w sporcie, przez ostatnie lata skutecznie wybijano im z głowy. Tych oddanych i wiernych klubowi można policzyć na palcach, uwzględniając w tym i trenerów. Dzięki nim m.in. klub jako tako funkcjonuje. Zarząd klubu wykruszył się — z kilkunastu członków zarządu w ciągu roku zostało tylko trzech.

Brak jeszcze jednej bardzo ważnej rzeczy. Mianowicie zamiast deklaracji woleliby wszyscy więcej prawdziwego działania i dobrej woli ze strony władz. I to nie tych sportowych — WKFSiT oraz WFS, bo te pomagają na tyle, na ile je stać. Reszta jakby zupełnie zapomniała o obietnicach i zobowiązaniach oraz o prostej zależności: w zdrowym ciele zdrowy duch. A może przeciwnie: pamiętają o tym nazbyt dobrze. I w związku z tym — są przekonani, że aktualnie chory duch im nie podskoczy.

Być może, coś się zmieni na lepsze po walnym zgromadzeniu ŁKS-u zaplanowanym na 9 lipca br., na które w imieniu klubu zapraszam wszystkich sympatyków tym goręcej, że program przewiduje demokratyczne wybory prezesa i zarządu.

WYMIATACZ

skrzyżowania skrzyżowania

straszak na cnotę

Przeglądając ostatnio zbiory prasy natrafiłem w jednym z zimowych numerów „Gromady Rolnik Polski" na tekst zakreślony czerwonym flamastrem. Dotyczy on wprawdzie gołoledzi, lecz poza tym zawiera też kilka — delikatnie mówiąc — kontrowersyjnych reminiscencji o sprawach bezpieczeństwa ruchu drogowego. Jedna z nich sprowadza się do opisu, jak to *„panowie oficerowie MO w białych czapkach zamiast reagować na bezczynność służb drogowych wolą chować się z z radarem za krzaczki i czekać, aż jakiś kierowca nieopatrznie wpadnie im w sidła"*. Mam nieco osobistych doświadczeń w obcowaniu z przyrodą, parenaście lat spędziłem „za kółkiem" — poczułem się dotknięty robieniem ze mnie przysłowiowego balona. Po pierwsze, nigdy dotąd w Łomżyńskiem nie spotkałem oficera z radarem; ani też radaru w krzaczkach... zimą. Po drugie, krzaki przy drogach zwykle bywają liściaste, a zimą, jak z pewnością szanownemu Koledze z „Gromady" wiadomo, liście z nich opadają i choćby z tej prozaicznej przyczyny trudno za „łysymi" krzaczkami ukryć samochód z radarem...

Ale teraz, gdy zieleń przydrożna rozkrzewiła się bujnie i zazieleniła, sprawa radarowych pułapek stała się znów aktualna. Toteż sympatycznemu dziennikarzowi — kierowcy z Warszawy radzę uważać na wszystkie krzaki w trosce o swój budżet, no a przede wszystkim — o cenną głowę, którą mógłby łatwo na szwank narazić jeżdżąc z nadmierną szybkością, będącą — jak głosi chociażby prasa — główną przyczyną tragicznych wypadków drogowych (także w łomżyńskim).

Dość już rad dla najwidoczniej „zielonego" kierowcy. Rozważmy samą istotę kamuflowania radarowych mierników prędkości pozwalających — moim skromnym zdaniem — na dokonywanie obiektywnej oceny prędkości jazdy. Wszystkim znana jest instytucja „mrugania" światłami dla ostrzegania innych o ustawionym radarze. Bardzo przypadło mi to do gustu — skłania większość kierowców do podporządkowania się nakazanym prękościom, a przecież o nic innego milicjantom z radarem nie chodzi. Lecz z drugiej strony takie krótkotrwałe przywołanie do porządku „wyścigowców" niewiele daje poza skutecznym zafałszowaniem faktycznego obrazu respektowania zasad kodeksu drogowego i zdrowego rozsądku. Kierowcy mijają „niebezpieczne" miejsce i bez obawy cisną gaz do „dechy" wiedząc, że radar już tego nie wykaże.

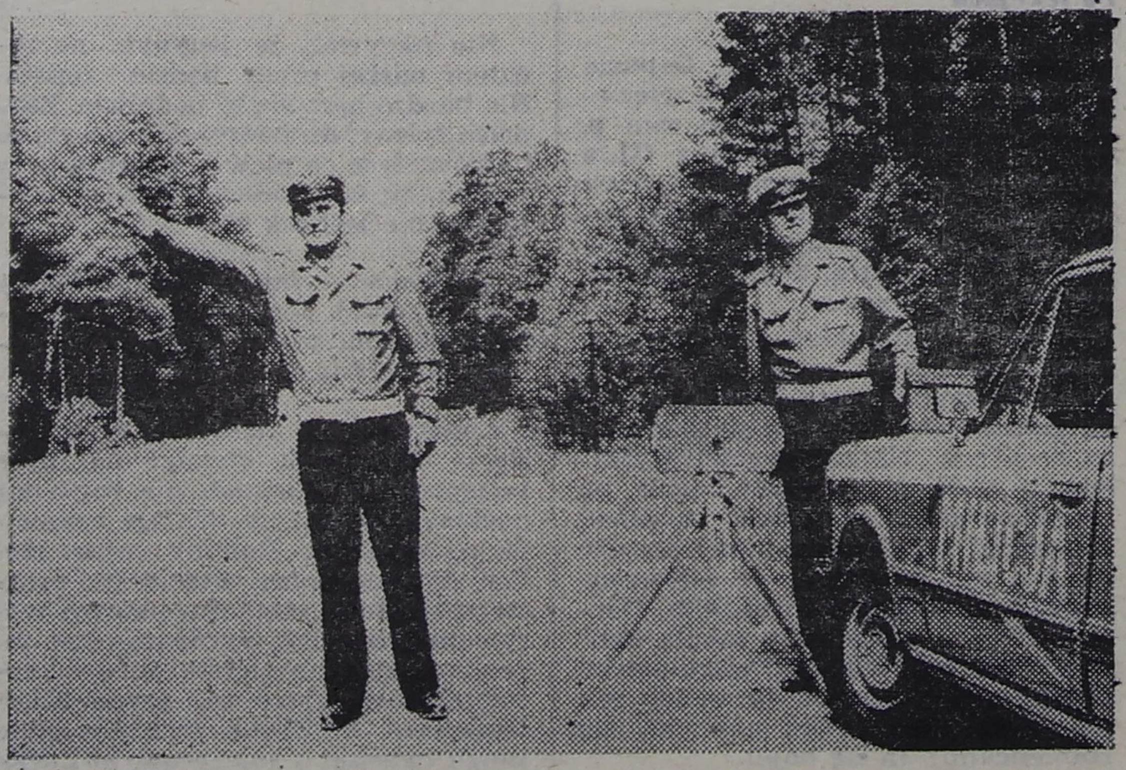

Aby skuteczniej oddziaływać na miłośników „stówy" na szybkościomierzu próbowano już wielu sposobów. Jednym z nich było ustawienie na drodze E-12 przed Radzyminem okazałych tablic z groźnie brzmiącym napisem *„kontrola radarowa MO"*. Ale tablice o radarze bez radaru zaczęły wręcz zachęcać do przyspieszania, chociażby ze zwykłej przekory.

I tak dochodzę do wniosku, że jeśli nie wiemy, gdzie czyha na nas radar, przynajmniej większość z nas stara się na całej trasie przestrzegać przypisanej szybkości. Może nie zawsze zdajemy sobie wówczas sprawę z zagrożenia życia wywołanego „ostrą" jazdą, za to z pewnością niemal wszyscy wiemy, że przekroczenie dozwolonej prędkości o 20 lub więcej kilometrów na godzinę kosztować może — okrągły tysiączek.

Poza tym radarów nie wymyślono w Polsce. Służą one dobrej sprawie na całym świecie i kosztują dość słono, jako że są nafaszerowane elektroniką. Można wprawdzie część z nich zastąpić straszącymi atrapami, ale finał takiej operacji będzie podobny jak w przypadku tablic pod Radzyminem.

Na koniec, jeden z wielu argumentów potwierdzających potrzebę funkcjonowania radarowych mierników prędkości — prawdziwa cnota (kierowcy) radarów się nie lęka...

DYŻURNY DROGOWSKAZ
Fot. CAF

9.07.1981 TV 15.07.1981

CZWARTEK **9.07.1981 R.**

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii „Dzieci spod 47 A" — „Nowe szaleństwo Binny"
16.55. Program dnia
17.00. Dziennik
17.30. „Impulsy"
17.50. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 81 — Przeboje widowisk (1)
18.50. Dobranoc
19.00. „Sonda" — Gdzie diabeł nie może
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. „Aniołki Charliego" — „Ładne Aniołki na konkursie"
20.55. Program publicystyczny — Przed IX Zjazdem
21.55. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 81 — przeboje widowisk (2)
22.55. Dziennik
23.10. Telewizja w sprawie miliardów

PROGRAM II

18.55. Program dnia
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. NURT Pedagogika — Zmiany w systemie doskonalenia zawodowego nauczycieli
20.30. NURT — Porozmawiajmy
21.00. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny"
21.30. 24 Godziny
21.40. Magazyn Motoryzacyjny
21.55. „Z muzyką przez życie"
22.25. NURT — Porozmawiajmy

PIĄTEK **10.07.1981 R.**

PROGRAM I

9.00. Teleferie Telewizji Najmłodszych „Dzieci spod 47 A" — „Nieudany interes Binny"
16.55. Program dnia
17.00. Dziennik
17.30. „W kręgu rodziny"
17.50. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 81 — Premiery (1)
18.50. Dobranoc
19.00. „Świadkowie"
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Rolnicze rozmowy
20.10. „Granica" ekranizacja powieści Zofii Nałkowskiej — reż. Jan Rybkowski; w rolach głównych: Krystyna Janda, Sławomira Łozińska, Andrzej Seweryn
21.45. Program publicystyczny
22.45. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 81 — Premiery (2)
23.45. Dziennik

PROGRAM II

18.55. Program dnia
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Międzynarodowy mecz w lekkiej atletyce ZSRR—USA
21.00. „Słowa za słowa"
21.30. 24 Godziny
21.40. „Ja i Charlie" film fabularny prod. duńskiej

SOBOTA **11.07.1981 R.**

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Dzieci spod 47 A"
9.25. „Tobie Ojczyzno" — wojskowy film dokumentalny
10.05. Klub dobrej książki
10.30. STUDIO 2
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. STUDIO 2

PROGRAM II

16.05. Program dnia
16.10. Pegaz Młodych
16.35. Popołudnie Przygody i Podróży
18.05. „Portret ze wspomnień" (1) — serial społeczno-obyczajowy telewizji radzieckiej na podstawie powieści Wila Lipatowa
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Międzynarodowy mecz w lekkiej atletyce ZSRR—USA
20.50. Muzyka Młodej Generacji — Zespół Exodus
21.30. 24 Godziny
21.40. Poeci recytują wiersze
21.55. „Piotrusia" — ekranizacja powieści H. Balzaca, reż. Guy Jorre
23.25. Przeboje mistrzów (14) program Janusza Cegiełły

NIEDZIELA **12.07.1981 R.**

PROGRAM I

7.25. Nowoczesność w domu i zagrodzie
7.55. Tydzień — magazyn Redakcji Rolnej
8.55. Program dnia
9.00. Telewizjada — sport dla wszystkich
9.30. Kino Teleranka — „Csutak przed mikrofonem" (1)
10.25. Antena
10.55. Wielkie miasta świata — Budapeszt
12.00. Dziennik
12.45. Telewizyjny Koncert Życzeń
13.30. Dlaczego? — Program Redakcji Rolnej
14.15. Losowanie dużego lotka
14.30. „Dolna Biebrza" — film przyrodniczy
15.30. Z pokolenia na pokolenie — „Śląski trybun"
16.00. „Krzyżacy" — polski film historyczny, reż. Aleksander Ford, w rolach głównych: Mieczysław Kalenik, Grażyna Staniszewska
18.45. Reportaż filmowy
19.00. Wieczorynka
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Koncert galowy (1)
21.05. Sportowa niedziela
21.35. XV Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Koncert galowy (2)

PROGRAM II

9.55. Program dnia
10.00. „Saperska robota" — program wojskowy
10.30. Przeboje tygodnia
11.30. Tylko w niedzielę z Gdańska
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Tylko w niedzielę z Gdańska c.d.

PONIEDZIAŁEK **13.07.1981 R.**

PROGRAM I

16.55. Program dnia
17.00. Dziennik
17.30. „Droga" (3) — odc. pt. „Ostatnich gryzą psy"
18.30. Dom i my — poradnik
18.50. Dobranoc — „Niebieskie słoniątko"
19.00. Echa stadionów
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Rolnicze rozmowy
20.10. Teatr Telewizji Jan Kochanowski — „Odprawa posłów greckich" reż. Zbigniew Zapasiewicz
21.15. Tradycje i źródła ideowe partii
22.25. Kultura 81
23.10. Dziennik

PROGRAM II

18.55. Program dnia
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. STUDIO BIS
21.30. 24 Godziny
21.40. STUDIO BIS

WTOREK **14.07.1981 R.**

PROGRAM I

9.00. Teleferie — „Lato z Kasią" — „Witaj ciociu"
16.55. Program dnia
17.00. Dziennik
17.30. Studio zjazdowe
18.00. Polska Kronika Filmowa
18.10. Telewizja Młodych
18.50. Dobranoc — „Dziwne przygody Koziołka Matołka"
19.00. Klinika Zdrowego Człowieka
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Studio zjazdowe
20.45. „Próba ognia i wody" — polski dramat psychologiczny
22.05. Dziennik
22.20. Studio zjazdowe

PROGRAM II

18.55. Program dnia
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Sensacje z przeszłości; Świat książek Ryszarda Zięby
20.35. Wtorek Melomana — Z konkursowych nagrań Tatiany Szebanowej
21.35. 24 Godziny
22.00. „Ach te moje żony" — francuska komedia filmowa

ŚRODA **15.07.1981 R.**

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Lato z Kasią" — „Wybuchł pożar"
16.55. Program dnia
17.00. Dziennik
17.30. Studio zjazdowe
18.00. Losowanie małego i express lotka
18.10. Magazyn Motoryzacyjny
18.50. Dobranoc — „Przygody Peti"
19.00. Wyspy Hiszpanii — Lanzarete
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Studio zjazdowe
20.45. „Karol Marks — lata młodości" (4)
21.50. „Przynoszę ci kilka pieśni" — program muzyczny
22.25. Dziennik
22.40. Studio zjazdowe

PROGRAM II

18.55. Program dnia
19.00. Program lokalny
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. Kosmos 1981
21.30. 24 Godziny
21.40. Kosmos 1981 c.d.

OGŁOSZENIE

Wydział Reżyserii Teatru Lalek PWST w Białymstoku (ul. Sienkiewicza 14, tel. 340-86) informuje, że do 15 sierpnia br. przyjmowane są podania o przyjęcie na studia na ww. wydziale.

Do odbywania studiów mogą być dopuszczeni kandydaci, którzy wykazują się właściwą postawą moralną i obywatelską oraz zostali zakwalifikowani na studia na podstawie wyników konkursowego egzaminu wstępnego. Ponadto — aktorzy o pełnych kwalifikacjach zawodowych, przejawiający szerokie zainteresowania teatrem, literaturą oraz problematyką społeczną; kandydaci, którzy posiadają dyplom ukończenia studiów wyższych; nie przekroczyli 32 roku życia; osoby o kwalifikacjach artystycznych z innej dziedziny sztuki lub o kwalifikacjach naukowych stwierdzonych dyplomem wyższej uczelni; w wyjątkowych przypadkach o dopuszczenie do egzaminu wstępnego ubiegać się mogą kandydaci, którzy nie posiadają dyplomu studiów wyższych, natomiast osiągnęli wybitne rezultaty w sztuce teatralnej (w tym przypadku niezbędna jest zgoda Ministra Kultury i Sztuki po wyróżniającym złożeniu konkursowego egzaminu wstępnego).

Egzamin ustny odbędzie się w terminie 15—25 września br.

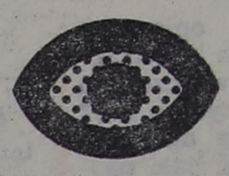

Łomża, kino „Październik": 9 VII — „Rewolwer Python 357", prod. franc. (od lat 15); 10—12 VII — „Tortury", prod. franc. (od lat 15); 13—15 VII — „Ciosy", prod. pol. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 9 VII — „Goń mnie, aż cię złapię", prod. franc. (od lat 15); 10—12 VII — „Powrót Mechagodzilli", prod. jap. (od lat 12); 14—15 VII — „Róg Brzeskiej i Capri", prod. pol. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relax": 9—10 VII — „Porwać cesarza", prod. węg. (od lat 18); 11—13 VII — „Dzięki Bogu już piątek", prod. USA (od lat 15); 14—15 VII — „Jezioro osobliwości", prod. pol. (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza": 9 VII — „Superexpress w niebezpieczeństwie", prod. jap. (od lat 15); 11—12 VII — „Szczęki 2", prod. USA (od lat 15); 15—16 VII — „Samotnik", prod. franc. (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos": 9—10 VII — „Urodziny młodego warszawiaka", prod. pol. (od lat 12); 11—12 VII — „Strach nad miastem", prod. franc. (od lat 18); 13—15 VII — „Mężczyzna z białym goździkiem", prod. szwedz. (od lat 15).

Nowogród, kino „Ziemowit": 11—12 VII — „Powrót do domu", prod. USA (od lat 15); 14—15 VII — „Omen", prod. ang. (od lat 18).

Stawiski, kino „Saturn": 9—10 VII — „Sindbad", prod. węg. (od lat 18); 11—12 VII — „Szantaż", prod. ang. (od lat 18); 14—15 VII — „Uśmiech", prod. USA (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wrzos": 9—10 VII — „Cień lecącego ptaka", prod. CSRS (od lat 15; 11—12 VII — „Lęk wysokości", prod. USA (od lat 15); 14—17 VII — „Saturn 3", prod. ang. (od lat 12).

Zambrów, kino „Kosmos": 9 VII — „Wielki sen", prod. ang. (od lat 15); 10—11 VII — „Powrót człowieka zwanego koniem", prod. USA (od lat 15); 12—13 VII — „Mroczny przedmiot pożądania", prod. franc. (od lat 18); 14—15 VII — „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi", prod. CSRS (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: Ewa Gaworska i Piotr Bakul — recital piosenki poetyckiej (w klubie „Pod Arkadami"), 11 VII, godz. 18.00; recital Jacka Ulaja (w klubie „Bonar"), 14 i 15 VII, godz. 19.00; „Wystawa rysunku tymczasowego" — rysunek satyryczny Jerzego Swoińskiego (w klubie „Pod Arkadami"), wystawa czynna do 15 VII.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: poranek filmowy dla dzieci, 9 VII, godz. 11.00; wieczór rozrywkowy dla dzieci, 15 VII, godz. 16.00; wystawa prac plastyków-amatorów, czynna w dniach 10—20 VII.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: wystawa malarstwa i grafiki Jana Kuleszy, czynna codziennie (do 31 VII) w godz. 8.00—19.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: impreza rozrywkowa z cyklu „Wakacyjnych spotkań z kulturą" (estrada nad jeziorem), 11 VII; imprezy dla dzieci, 10 i 15 VII; wystawa malarstwa plastyczki-amatorki, Stefanii Matysiewicz.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Szczuczynie: inauguracja konkursu rysunkowego dla dzieci ph. „Moja ojczyzna", 10 VII.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszu: nauka tańca dla dzieci, 9 VII, godz. 17.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Szepietowie: początek spływu pontonowego rzeką Nurzec (od Brańska do ujścia), 15 VII.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. Wystawy: „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa (ze zbiorów własnych) prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu; „Szczęśliwy naród, który ma poetę..." — wystawa poświęcona Czesławowi Miłoszowi.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. Wystawy: 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bratnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe. 2) „Zintegrowane metody ochrony roślin" (wystawa dawnych i współczesnych środków ochrony roślin). 3) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 4) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. Wystawa czasowa: „Kwiaty" — malarstwo Jana Kulikowskiego.

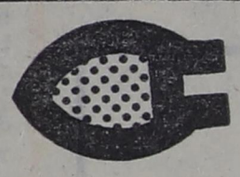

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): „Ulica w Łomży" — pocztówka niemiecka z 1915 r.

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Wojtek Surawski — „Cień".

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00 — 18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa malarstwa Andrzeja Szufarskiego (czynna od 10 VII).

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.
Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 11 VII — ASO „Polmozbyt" w Grajewie, ul. Marchlewskiego 33 a, tel. 24-22; 12 VII — ASO „Polmozbyt" w Piątnicy k. Łomży, ul. Stawiskowa, tel. 763-01.

sprintem przez boiska

W Łomży odbyło się spotkanie trenerów i pracowników kultury fizycznej z Sekretarzem Generalnym PKOl. Janem Pawlukiem. W spotkaniu uczestniczył również Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łomży Zygmunt Grygo. Zebrani wymienili poglądy na temat aktualnej sytuacji w sporcie w kraju i województwie łomżyńskim. Udekorowano zasłużonych działaczy sportu. 7 osób otrzymało odznaki zasłużonych działaczy kultury fizycznej: odznakę złotą otrzymał Zdzisław Sawicki, cztery osoby uhonorowano medalami PKOl. za zasługi dla rozwoju kultury fizycznej i sportu. Ośmiu osobom wręczono odznaki zasłużonych dla województwa łomżyńskiego.

★

W strefowych eliminacjach do VIII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w lekkoatletyce a rozegranych na stadionie warszawskiej „Skry" nasze województwo reprezentowali zawodnicy MKS „Zorza" i WLKS „Narew". Tym ostatnim nie powiodło się. Natomiast prawo startu w finałach wywalczyli zawodnicy „Zorzy". Podopieczna trenera Leszka Zwierzyńskiego Iwona Radziszewska zwyciężyła w pchnięciu kulą wynikiem 11,53 m. Trenowana przez Eugeniusza Horoszko, Lucyna Sikorska była druga w biegu na 400 m (57,6 sek.) Dariusz Domitrz podopieczny Waldemara Kosowskiego zwyciężył w skoku wzwyż rezultatem 195 cm. Również pierwsze miejsce zajęła w eliminacjach sztafeta 4×400 m w składzie: Barbara Piątek, Grażyna Chrapowicka, Małgorzata Kosińska oraz Lucyna Sikorska.

Bardzo dobrze w eliminacjach do spartakiady spisali się także strzelcy ŁKS Łomża, którym patronuje Komenda Wojewódzka MO. Na zawodach w Olsztynie prawo startu na VIII OSM wywalczyli: Renata Markowska, w konkurencjach kbks 60 strzałów leżąc (553 pkt) i kbks 3×20 (499 pkt.), Andrzej Bagiński w konkurencji kbks 60 strzałów leżąc (546 pkt.), Karol Domalewski i Zbigniew Godlewski w konkurencji PD 40 (337 pkt.) i (333 pkt.), Ewa Guziak w konkurencji psk 30+30 ,535 pkt.), a w konkurencji ppn 40 Karol Domalewski i Zbigniew Godlewski (356 i 350 pkt.).

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR. REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Maurycy Adamczyk Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Adam Jerzy Socha, Juliusz Świredo, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy. Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel. Korekta — Elżbieta Słupska. STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Włodzimierz Pawluczuk, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Teresa Polecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchorzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel. ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża, tel. 34-95, 40-32, telex — 85324. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch". Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Oddział w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 1092/81. Nakład 20.000 A-3 PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.
18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95, 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch"

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Diabły na tratwie korzystając z silnego prądu jaki w jeziorze wytwarza kabel rajgrodzkiego Gospodarstwa Rybnego, dobijają do brzegu.

NARWIAŃSKI: Wygląda to na depresję, a w każdym razie poniżej poziomu.

SUPRASKI: Ło, nawet Olendry po depresji latajom w drewnianych trepach. I dwa tulipany w prochowcach tu idom. Jeden całkiem jak Kodjak — lizawkę ssie.

TULIPAN I: Hej tam na tratwie, co macie do oclenia? Tytoń, narkotyki, kaszę mannę, musztardę?

DOJLICKI. Do oclenia jest chyba tylko Supraski, jako Przewodniczący Komitetu Budowy Tratwy.

TULIPAN II: Dobra, zważyć Supraskiego i pokwitować 100 zł za kg, na fundusz rozwoju turystyki. Nieźle wygląda to i kajak się może gminie kupi.

TULIPAN I: Tego weźmiemy ze sobą *(wskazuje na Narwiańskiego)*

NARWIAŃSKI: Dlaczego?

TULIPAN I: Funkcjonujecie od dłuższego czasu, macie doświadczenie, podejście do ludzi, a kogoś wziąć trzeba.

Biorą Narwiańskiego. Tłum niby-Holendrów natychmiast ustawia się w kolejkę do trawy. Narwiański tymczasem zostaje dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury w Trzciannem.

W gabinecie dyrektora Narwiańskiego.

NARWIAŃSKI: Wszystkich was na etaty wziąć nie mogę. Kolega Supraski ma książeczkę oszczędnościową, więc zostanie bibliotekarzem — pozostali będą działać społecznie.

Za jakiś czas ciągle w Trzciannem i co dziwniejsze ciągle w gabinecie.

NARWIAŃSKI: Zorganizowałem konferencję prasową — czas najwyższy poinformować szersze forum jak my tu, w terenie trudnym, najeżonym bolączkami, opieramy się drobnomieszczańskim marazmom i przemy kulturotwórczo do przodu. Na odcinkach wszystko gra?

SUPRASKI: Na niwie ogólnego rozczytania się w gminie, jak najbardziej, a może jeszcze bardziej. Stary Grzela od dwóch tygodni społecznie czyta „O szczęściu" Tatarkiewicza, za co ma dostać dodatkowe kartki na cukier i dwustronny medal.

BUŻAŃSKI: Rewia na lodzie wprawdzie wypadła nam z grafiku, ale z innych showów wyszedł nam turniej warcabowy o tytuł Superpionka pod hasłem „Bij damkę".

Wchodzą dziennikarze.

NARWIAŃSKI: Jako kierujący placówką jestem za szeroko pojętym procesem odnowy...

TELEWIZJA: Audycja ma być o problemach wsi — proszę więcej autentycznego zatroskania na twarzy. Proszę włożyć gumiaki.

NARWIAŃSKI: Na twarz?

RADIO: Czy ci panowie *(wskazuje na resztę diabłów)* to jest vox populi?

SUPRASKI: Jesteśmy kuliedzy.

DOJLICKI: Tutejsza struktura...

BIEBRZAŃSKI: ...można powiedzieć kulturalne doły Trzciannego.

SUPRASKI: I jako tutejsze zapytujemy, dlaczego Kuliega dyrektor, sprzedaje czekoladę na dyskotece po cenach zawyżonych, a przez Urząd nie zatwierdzonych?

BUŻAŃSKI: Zapytujemy też na co dyrektor liczy kiedy z dyskoteki odprowadza do kasy 200 zł? Pragnę przy tym zauważyć, że na zabawie jest zwykle około 300 osób, a bilet kosztuje 30 zł. Co by było gdyby nam ta rewia na lodzie nie wypadła z grafiku?

BIEBRZAŃSKI: Dlaczego nie uszanuje tradycji i nie zakłada zespołu kolędniczego, a po całych dniach gra w ping-ponga?

NARWIAŃSKI: Wszystko pod moim adresem. Ale ZSMP też organizuje zabawy i też, tego, no — kradnie. I w ogóle nie ma ludzi do pracy. Jak było zebranie opiekunów społecznych z całej gminy, to sam musiałem nosić krzesła, żeby je odbyć. Macie pojęcie ile to krzeseł — całe szczęście, że opiekunowie nie przyjechali!

GAZETA: To jest niezłe — trzeba jednak konstruktywnie zakończyć.

SUPRASKI: Kuliedzy, ja się zostanę dyrektorem!

Supraski zostaje dyrektorem. Epilog w „Pegazie".

DONOS NR 16

Stanąłem przed poważnym zarzutem, że moje donosicielstwo jest prostackie, żeby nie powiedzieć — chamskie. A wszystko dlatego, że nie podpisuję swych cyrografów sakramentalnym pozdrowieniem, czym uchybiam ponoć wszelkim kanonom piekielnego wychowania.

Na dobrą sprawę nie dziwię się nawet podglądaczom moich poczynań, gdyż zostali wychowani na gruncie przesiąkniętym bardziej mnogością pozdrowień, niż nawozami. Pozdrawiano ich w dziecięcym stylu, później młodzieżowo, turystycznie i sportowo, konsumpcyjnie, nałogowo, raz partyjnie, to znów religijnie, względnie uczuciowo. Wciąż głaskani, lukrowani ekwilibrystycznymi pozdrowieniami nie potrafią dziś zrozumieć suchej treści dokumentu, jakim bez wątpienia jest donos.

Gdyby nie to, że od każdego łba mam prowizję, już ja bym ich pozdrowił. Ale niestety, klient nasz pan! Będzie zadowolony nawet po wyrzuceniu na zbity pysk. Trzeba to tylko uczynić z odpowiednim pozdrowieniem.

Toteż z największym uniżeniem kłaniam się w pas i przesyłam moc czarcich pozdrowień wszystkim zainteresowanym. Moja czołobitność jest stokrotna, więc na pewien czas będę miał szatański spokój.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy wyraźnie coś knują. Od tygodnia siedzą cicho, a miotły tkwią w garażach zamknięte na wszystkie spusty.

Dziwny objaw. Zawsze o tej porze księżycową nocą roiło się od latających czarcich wywłok (robocza nazwa miotły). Na co one znów się czają? Może na jakieś nowe porozumienie?!

Piekło centralne przymknęło oko na powyższy stan rzeczy, aby móc ostrzej przyjrzeć się sprawie drugim ślepiem.

W dodatku organ piekielny boleje, że nie będzie mógł wykonać planu zatruć lodami, gdyż ilość punktów sprzedażnych jest jakby nieco skąpawa. Kto by pomyślał, że przez jedno głupie spuszczenie śmietany do rynsztoka, trzeba będzie teraz własnym planem nałożyć.

W ramach rekompensaty robi się pobieżny przegląd towarów, które można jeszcze przetrzymać ponad termin ważności. Może chociaż tą drogą podtruje się źdźbko zagorzałych konsumentów, co to nic nie chcą, tylko konsumować i konsumować.

WYTYCZNE

Zamiast nauki tabliczki mnożenia, uczyć dzielenia tabliczki.

WSKAZÓWKI

Nie popadać jak wiosna w skrajne zzielenienie.

TWÓRCZOŚĆ

Zaciskajmy pasa, niech pod połą wiatr nie hasa, bo bo jak będzie nam się wciskał tędy i owędy, to wyniucha jeszcze jakieś błędy.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

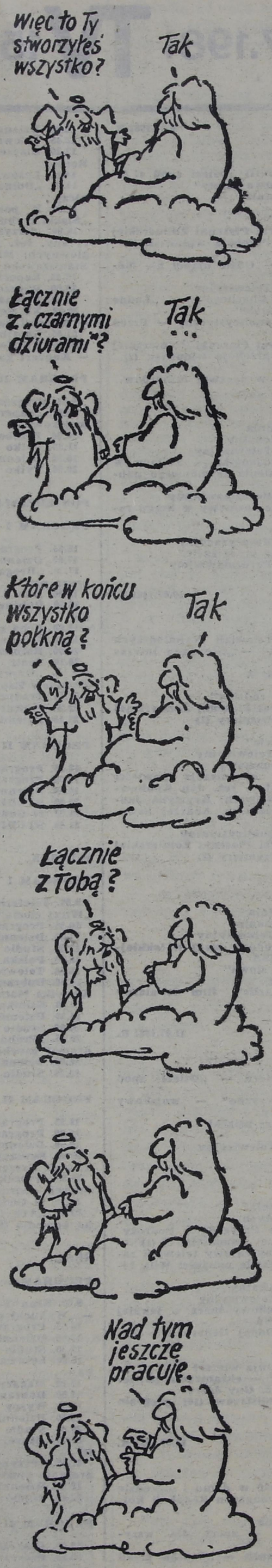

Sennik — przepowiednie niechybne

BIAŁKO JEŚĆ

Atrament widzieć — nowina; wylać — spierać się; pisać nim — nowy interes założyć

Autora widzieć — straty; autorem być — nadzieja zawiedziona

Audiencję mieć — rozczarowanie

Awantura w domu — zabawa; na ulicy — zguba cennej rzeczy

Awans otrzymać — wplątanie w sprawę kryminalną

Babę widzieć — nieporozumienie w małżeństwie; rozmawiać z babą — plotki; baba żebrząca — nieudolne zamiary

Babka — dobra spuścizna

Bać się — poznać fałszywych przyjaciół

Bachora widzieć — mały zysk pieniężny

Bachus — nieprzyzwoitę towarzystwo

Badaniu podlegać — smutny wypadek

Badyle oglądać — stracone projekta

Bagaż zabierać — utrata miejsca

Bagnet — straty ponosić

Bagnisko — choroba

Bagna — upicie się; wpaść w bagno — oczernienie przez ludzi

Bal, być na nim — smutna wiadomość; bal urządzać — kłopoty; być na balu proszonym — strata

Berło trzymać — piastować wielki urząd; berło u innych widzieć — szczęście

Bez kwitnący widzieć — choremu uzdrowienie

Bezbożnym być — zła rada

Bezludna wyspa — być smutnym

Białko jeść — spotkać przyjaciela

Biblię w podarunku otrzymać — polepszenie w interesach; czytać ją — dobre małżeństwo

Biblioteka, być w niej — zapoznanie się z ludźmi uczonymi; brać z niej książki — wydatki

Bibuła — pogrzeb

Bielizna brudna — wesele znajomego; prać ją — pogrzeb w rodzinie

Bić kogoś — wplątać się w spory

Bicz — smutna przygoda

Biczować się — nieporozumienie domowe

Biednym być — hańba i żałość

Biegać — prześladowanie